



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

10
NY 2016

DZIKIE BIESZCZADY

str. 8

str. 18

AMAZONIA

ROWEREM PRZEZ RZEKĘ

str. 34

TUNEZJA

KOGEL-MOGEL DLA KAŻDEGO

str. 58

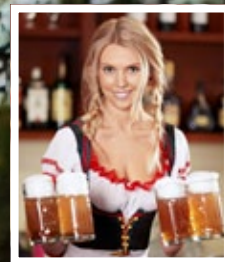
CZARNOGÓRA

FOTOJASKINIOWCY



OKTOBERFEST

STR. 26



MEKSYK STR. 50
PUEBLO MÁGICO

TANZANIA STR. 68
POLSKIE ŚCIEŻKI
NA SAWANNIE

KOREA POŁUDNIOWA STR. 78
ŚPIEWAJ I PRACUJ

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



917700321614605 10

We are masters of merino wool

Established in Norway 1853

Devold® Hiking

100% MERINO 190 g/m²



Seria bielizny przeznaczona do aktywności outdoorowej o każdej porze roku. Wełna merino zapewnia komfort termiczny w różnych warunkach, a siateczkowe panele gwarantują optymalne odprowadzanie wilgoci.



Specjalna oferta tylko dla czytelników „Poznaj Świat”

Rabat 20%* z kodem „POZNAJ20” na www.devold.pl

*Promocja ważna jest do 30.11.2016 i nie łączy się z innymi ofertami specjalnymi.

DEVOLD®
NORWAY 1853



AMAZONIA str. 18



NIEMCY str. 26



CZARNOGÓRA str. 58



KOREA POŁUDNIOWA str. 78



TANZANIA str. 68

W NUMERZE...

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

POLSKA str. 8

Dzikie Bieszczady.
Agnieszka i Włodzimierz
Bilińscy

AMAZONIA str. 18

Polacy przebyli najdłuższą
rzekę świata rowerami.
Piotr Chmieliński

NIEMCY str. 26

Oktoberfest to wielkie
święto piwa.
Mikołaj Gospodarek

TUNEZJA str. 34

Kogel-mogel dla każdego.
Tomasz Owsiany

NAVIGATOR str. 44

MEKSYK str. 50

San Cristóbal to jedno
z „magicznych miasteczek”.
Aleksandra Synowiec

PODRÓŻNOŚCI str. 56

Pociąg do powolności.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

CZARNOGÓRA str. 58

Đalovića to najdłuższa znana
jaskinia w tym kraju.
Paweł Ruda

GEOSKOP str. 66

TANZANIA str. 68

Polskie ścieżki na sawannie.
Anna Dąbrowska

MIKROWYPRAWY str. 76

Rzeka zamiast biurka.
Felieton Łukasza
Długowskiego

**KOREA
POŁUDNIOWA** str. 78

To kraj specyficzny
i emanujący oryginalnością,
otwarty na wpływy
i strzegący tradycji.
Monika Pietrasik

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

TURCJA str. 86

Czas się zatrzymał
w Gaziantep.
Serdar Comez,
Joanna Florczak

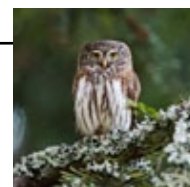
**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 94

Z PERSPEKTYWY str. 96

Z Sienkiewiczem
przez Hiszpanię.
Felieton Ryszarda
Badowskiego

OUTDOOR str. 100

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 104



NA OKŁADCE:
Bieszczadzka
sóweczka



Tomasz Jaraczewski

MAURITIUS

À la van de Velde

Rodrigues, najmniejsza z zamieszkanycy wysp archipelagu Maskarenów, jest nietknięta przez masową turystykę. Można delektować się w spokoju pięknem zatoczek i plaż oraz obserwować życie mieszkańców, którego rytm wyznaczają przyływy i odpływy oceanu. W kolorystyce i kompozycji ten kadr skojarzył się autorowi z obrazami holenderskiego marynisty Willema van de Velde (młodsze).

Krzysztof Kuch

BOLIWIA

Dzień na Wyspie Słońca

Na Isla del Sol, czyli Wyspę Słońca, położoną na jeziorze Titicaca, na wysokości 3 812 m n.p.m., można dopłynąć z boliwijskiego miasteczka Copacabana. Wyspa jest zamieszkała przez 400 mieszkańców. Indianin ze wspólnoty Yumani niesie suszone zioła z okolic ruin Chincana na drugi koniec wyspy. Droga jest kamienista i wymaga dobrej kondycji ze względu na liczne wzniesienia, brak cienia i dużą wysokość. Warunki życia są bardzo trudne, a mieszkańcy zajmują się uprawą roli, rybołówstwem oraz turystyką. Autor zdjęcia spędził tu wspaniałą 762. dzień z blisko trzyletniej podróży dookoła świata.

WWW.POCZTOWKIZPODROZY.PL

KADR ROKU
2015

FUNDACJA
KADRY ZE ŚWIATA

Zdjęcie pochodzi z galerii Fundacji KADRY ZE ŚWIATA. Można je kupić i pomóc spełnić podróżnicze marzenia dzieci. Szczegóły na WWW.KADRYZESWIATA.PL



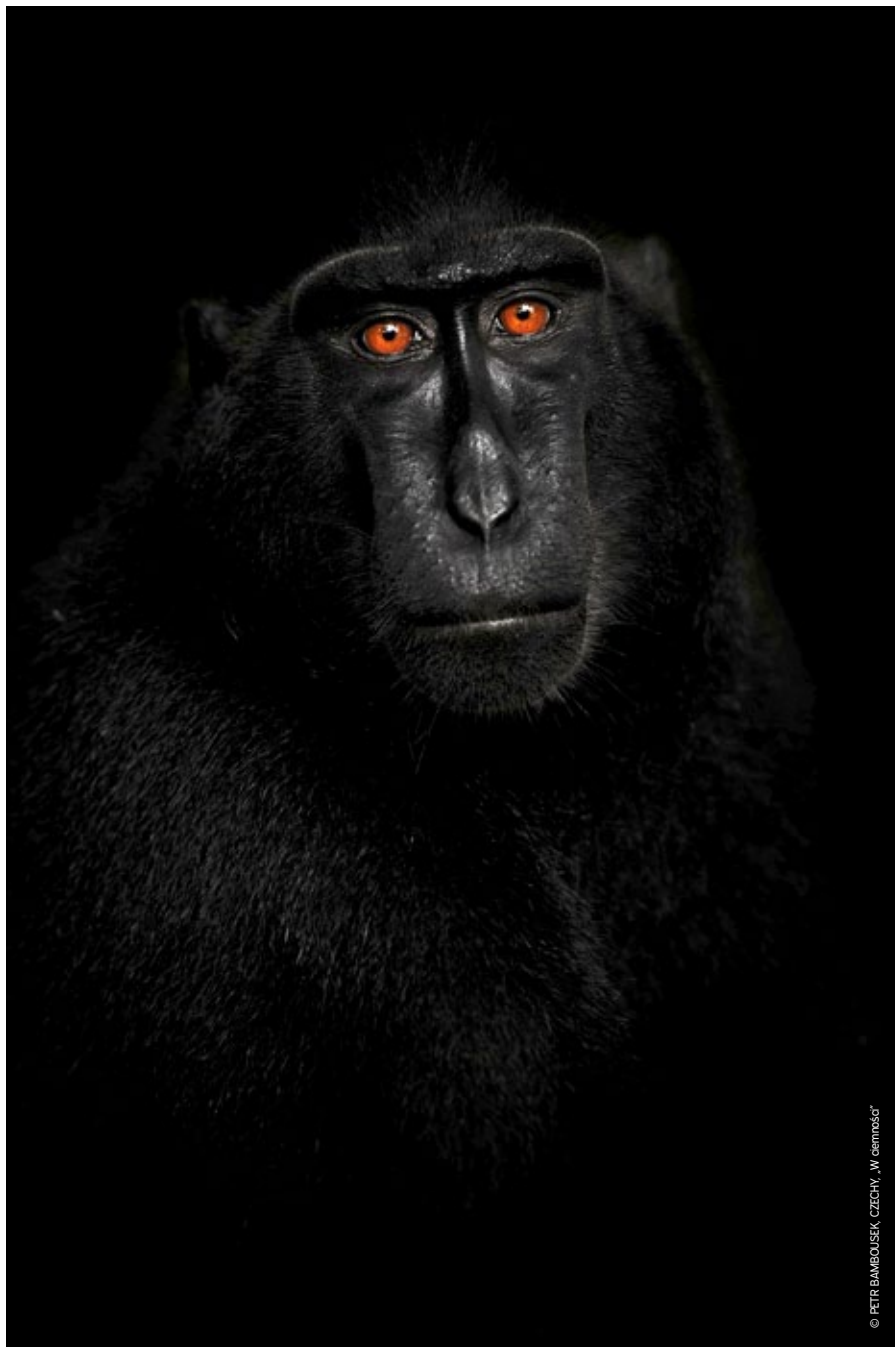
Petr Bambousek (Czechy)

INDONEZJA

Czarno to widzę

Makaki czubate są przedmiotem polowań, ponieważ ich mięso to lokalny przysmak. Ten endemiczny gatunek, zajmujący niewielki obszar na terenie Indonezji jest poważnie zagrożony. Zmniejszają się ich siedliska w lasach tropikalnych. Samiec widoczny na zdjęciu stracił część ręki w pułapce zastawionej na ptaki.

KATEGORIA: SSAKI
SEKCJA: RÓŻNORODNOŚĆ ZIEMI
FINALISTA



© PETR BAMBOUSEK, CZECHY, „W ciemności”

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2015, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT.
WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Przyślij zdjęcie!

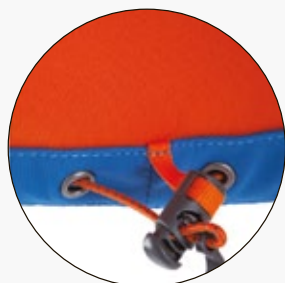
Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



 **simond**
CHAMONIX - Since 1860

KURTKA WATOWANA HYBRID SPRINT MĘSKA

249,99 zł



nr ref. 8359325



ODDYCHALNOŚĆ

Polar pod pachami ogranicza przegrzanie przy intensywnej aktywności fizycznej.



WYTRZYMAŁOŚĆ NA ŚCIERANIE

Strefy z materiału softshell w miejscach narażonych na silne tarcie.



CIEPŁO

Izolację zapewnia wata 100 g/m² na klatkę piersiową i w górze ramion.

PRODUKTY DOSTĘPNE W SKLEPACH

DECATHLON

ORAZ NA

decathlon.pl
KUPUJ ONLINE 

DZIKIE BIESZCZADY

Agnieszka i Włodzimierz Bilińscy

Wróciła moda na Bieszczady. „Wilcze góry”, „Wataha”, „Na granicy”, „Drwale” to tylko kilka najbardziej znanych produkcji filmowych o tych górach z ostatnich kilku lat. Filmy fabularne i dokumentalne, lepsze lub gorsze (kwestia gustu), ale we wszystkich przewija się jeden mocny akcent – motyw dzikiej natury.



SOWA SÓWECZKA

Choć nie dorównuje wielkością nawet szpakowi, sóweczka jest postrachem leśnych ptaszków i drobnych gryzoni.

ŻUBR SIĘ CHŁODZI. I TO NIEJEDEN

Żubry w Bieszczadach żyją w dwóch populacjach. Jedno stado bytuje w okolicach Baligrodu i Komańczy, drugie – na terenach nadleśnictwa Lutowiska i Ustrzyki Dolne. Można je również zobaczyć w zagrodzie pokazowej w Muczmem.



Dawniej w narracjach o tym granicznym zakątku Polski zwracano uwagę na trudną historię i zabytkowe cerkiewki oraz na ciężkie życie i westernowe klimaty. Dziś, jakby na przekór rozwijającej się cywilizacji, na głównych bohaterów bieszczadzkiej opowieści wyrastają wilki, rysie, niedźwiedzie, potężne żubry, tajemnicze żbiki czy majestatyczne orły przednie.

Od kilku godzin siedzimy w ukryciu nad brzegiem rzeki, z nadzieją na sfotografowanie przekraczających ją żubrów. Tropo odcisnięte w błocie wskazują, że ostatnio w pobliżu tego miejsca kręciło się niewielkie stadko. Ale czy pojawi się akurat dziś?



FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BILINSKY

UMIAŁ GĄSKĘ PODEJŚĆ Z BLISKA, WIEDZIAŁ, GDZIE SĄ KRETOWISKA

„Cztery litery” już mocno obolałe, w kręgosłupie strzyka, chłód i wilgoć przenikają do szpiku kości i coraz bardziej chciałoby się udać „na stronę”. Ale przecież nie można hałasować ani tym bardziej rozsiewać wokół siebie dodatkowych, ludzkich zapachów. Trzeba cierpieć... Już niedługo, bo słońce zaczyna chylić się ku zachodowi. Fiasko. Zniecierpliwieni, tracimy wiarę w sukces i może trochę za wcześnie zwijamy karimaty, termosy, resztki prowiantu, płachty maskujące, statywy. Tylko teleobiektywy czekają w pogotowiu na szyjach, kiedy



FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BILINSKY

WILK Z GÓR

Bieszczady są nazywane wilczymi górami. Żyje tu najliczniejsza ich populacja w Polsce.



FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BILINSKY

przeciskamy się przez gęste krzewy. Wtem kątem oka zauważamy w oddali jakiś ruch. Wielkie, ciemne cielska żubrów zmiatają żwawym truchtem w stronę brodu, łamią przy tym gałęzie i robią w lesie wielki rozgardiasz. Nie zważamy na nic, pędzimy na łeb na szyję, z powrotem na miejsce zasiadki, padamy na ziemię (by mieć lepsze oparcie dla długich obiektywów) i w ostatniej chwili robimy nastrojowe zdjęcia żubrów w rzece. A jednak się udało!

W dobie internetu każde spotkanie z najbardziej tajemniczymi mieszkańcami Bieszczad jest szeroko komentowane, więc wszystkim wydaje się, że na każdym rogu stoi niedźwiedź. Jednak natknięcie się na misia, żubra czy wilka podczas krótkiego urlopu jest

IMPRESJA INWERSJI

Podczas inwersji chmury ścielą się nisko, a bieszczadzkie szczyty wyglądają jak wyspy w morzu mgieł. Najczęściej to zjawisko występuje właśnie jesienią.

raczej mało prawdopodobne. Jeszcze trudniej zobaczyć mieszkające tu dzikie koty – płochliwego, czujnego rysia i legendarnego ducha tutejszych ostępów, żbika.

BURY WILK BARNABA, ZAMOŻNIEJSZY OD NABABA

O bieszczadzkiej faunie wiemy wciąż niewiele. Precyzyjne określenie liczebności każdego z gatunków ssaków oraz siedlisk lokalnych populacji nie jest wbrew pozorom proste. Terytoria zajmowane przez poszczególne osobniki czy stada nachodzą na siebie, a zwierzęta są ruchliwe (wilki potrafią w ciągu doby przejść kilkadziesiąt kilometrów). Jeśli się ba-

zuje na odcisniętych w śniegu tropach, łatwo dwukrotnie policzyć tego samego zwierzaka w różnych miejscach... Bezpośrednie obserwacje są bardzo trudne ze względu na gęstwinę, górzystą rzeźbę terenu i duże obszary badań. Nawet najnowsze zdobycze techniki nie gwarantują sukcesu. Wzgórza, drzewa oraz liście tłumią fale radiowe i sygnał GPS. Tym większy zatem należy się szacunek naukowcom pasjonatom z Bieszczadzkiego Parku Narodowego i innych placówek badawczych za ich wkład w uzyskanie chociaż podstawowej wiedzy.

Oczywiście użycie nowoczesnych metod pomiarowych, powszechność aparatów fotograficznych, moda na instalowanie kamerek

KREWNA SALAMANDRY

W Bieszczadach można spotkać także małe „smoki”. Na zdjęciu samiec traszki górskiej.



FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BILIŃSCY



MONITORING RZECZNY

Zimorodek cierpliwie wypatruje w bieszczadzkich potokach małych rybek. Gdy dostrzeże ofiarę, błyskawicznie podrywa się do lotu, zanurza w wodzie i łapie zdobycz.

FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BILIŃSCY

FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BILIŃSCY

w samochodach oraz fotopułapek – kamer reagujących na ruch w lasach – dały w ostatnich latach wiele cennych informacji. Potrafimy już ocenić przybliżoną liczebność rzadkich zwierząt. Na przykład żubrów (o czym mało kto wie, bo ci mocarze puszczy kojarzą się przede wszystkim z Białowieżą) żyje w Bieszczadach około trzystu, rysi najwyżej kilkadziesiąt, żbików, podobnie jak niedźwiedzi i wilków, jest według różnych opinii około setki, może trochę więcej, i są to najliczniejsze populacje w Polsce. Z filmów zarejestrowanych fotopułapkami dowiadujemy się też trochę o zachowaniach dzikich zwierząt. Udokumentowano na przykład, że wataha wilków bez większego trudu przegania niedźwiedzia od zdobyczy,

a lisy boją się bezpośredniego spotkania z zardziornymi żbikami, które są przecież niewiele większe od przeciętnego kota.

PRZY STAWIANIU PIECÓW KUNA WYKONUJE PRACĘ ZDUNA

Wielkie ssaki i drapieżniki wzbudzają największe emocje, ale nie są jedynymi gatunkami żyjącymi w Bieszczadach. Tutejsze potoki zamieszkuje liczna populacja bobrów. Ich wpływ na środowisko jest ogromny. Budowane przez nie tamy spiętrzają strumienie w malownicze oczka i stawy, dzięki czemu woda, zamiast szybko spływać do morza, pozostaje w lasach

NIE PIES, A WYDRA

Wydry są bardzo sprawnymi drapieżnikami, ale też niezwykle inteligentnymi i ciekawskimi stworzeniami.



PŁONĄCE POŁONINY
Bieszczady
najpiękniejsze
są jesienią, gdy
żółkną liście drzew,
a jagodziska stają się
intensywnie czerwone.

i na łąkach, co trochę zmniejsza skutki suszy przy coraz bardziej ocieplającym się klimacie. Zamiast wielkim nakładem finansowym budować sztuczne zbiorniki retencyjne, pozwólmy po prostu pracować leśnemu ludkowi. Wydry także mają się w Bieszczadach nieźle. Można je spotkać w największych rzekach: Sanie, Wołosatym czy Solince, ale także jako zapalonych i ciekawskich włóczęgów wzdłuż najmniejszych nawet strumieni.

Skoro jesteście nad wodami, zwróćmy uwagę na interesujące ptaszki. Przysiadają na kamieniach, by po chwili zanurkować w lodowatej wodzie. To pluszcze, które żywią się drobnymi żyjątkami zbieranymi z dna. Ich sąsiadkami są żółte pliszki górskie, polujące na nadwodne owady. W kałużach i płytkich stawach mieszkają płazy mające w nazwie ten sam przymiotnik: kumaki górskie oraz podwodne smoki – traszki górskie. Ich kuzynką jest zamieszkująca cieniste lasy czarno-żółta salamandra.

TEGO NAWET DZIECIOŁ SOWIE, CHOĆ JEST PLOTKARZ – NIE OPOWIE

Sowy pasjonują wielu z nas. Kojarzą się z nocnym trybem życia, ale niektóre są także aktywne podczas dnia. Jednym z przykładów jest sóweczka, najmniejszy gatunek pośród polskich sów. Jest mała jak szpak, ale groźna. Spróbujcie tylko naśladować jej charakterystyczne powgwiszdywanie w środku lasu, a natychmiast spowodujecie panikę pośród sikor, kowalików i innego ptasiego drobiazgu. W ciągu dnia polują także puszczyki uralskie – duże, jasno ubarwione sowy, zwane przez niektórych uralami. Można je spotkać w głębi puszczy, ale także na obrzeżach lasów, skąd wypatrują gryzoni na pobliskich łąkach.

Orzeł przedni jest przez niektórych uważany za wzór godła naszego kraju. W Bieszczadach i okolicach żyje zaledwie kilka, kilkanaście par tych majestatycznych, podlegających ścisłej ochronie ptaków. Gdy pisze się o tutejszej przyrodzie, nie sposób nie wspomnieć o jesiennym rykowisku jeleni, leśnej orkiestrze, której muzykami są potężne (większe niż w innych regionach Polski) byki o imponującym porożu. Ich tęskne porykiwa-



FOT. AGNIESZKA IWLODZIMERZ-BELINSKY

nia tworzą niezwykłą oprawę dźwiękową dla jesiennych wycieczek.

Zainteresowanie poznaniem dzikiej strony Bieszczad z każdym rokiem rośnie. Powstają takie inicjatywy, jak Bieszczady Dniem i Nocą czy Bieszczadzka Akademia Fotografii, oferujące bliższy kontakt z przyrodą podczas plenerowych warsztatów i wypraw tropem dzikiego zwierza. Buduje się chatownie do obserwowania i fotografowania ssaków oraz ptaków drapieżnych. Wędrówka po bieszczadzkich bezdrożach w towarzystwie doświadczonego przyrodnika lub fotografa zwiększa szansę na ciekawe obserwacje, a przy okazji można się nauczyć tropów i śladów zwierząt oraz poznać ich zwyczaje.

NIECO DALEJ, STĄD PÓŁ MILI, MIESZKAŁ SIWY RYŚ BAZYLI

Rano dostaliśmy od znajomego cynk, że na obrzeżach sąsiedniej wsi widziano rysia. Pół godziny później już tam byliśmy. Stroje



JELEŃ NA RYKOWISKU

Październik to czas jelenich rykowisk. Za dnia i nocą w lesie rozbrzmiewa ich tęskna pieśń.

FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BLIŃSCY



WSZYSTKIE RYSY TO FAJNE ZWIERZAKI

Trzeba mieć niezwykle szczęście, żeby stanąć oko w oko z tym bardzo rzadkim mieszkańcem Puszczy Karpackiej.

FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BLIŃSCY



PIĘKNA BESTIA

O spotkaniu z niedźwiedziem brunatnym marzy wielu. Ale nawet w najodważniejszym śmiałku tli się isierka strachu.

Śródtytuły pochodzą z bajki Jana Brzechwy „Opowiedział dzieciom sowie”.

maskujące, bezzapachowy antyperspirant, teleobiektywy – pełen profesjonalizm. Przez bite dwie godziny penetrowaliśmy mozaikę pól, łąk i zagajników, aż wreszcie uznaliśmy, że kotek wrócił do rozległego lasu w pobliżu. Nagle w gęstych krzakach, które już wcześniej przeczesaliśmy, zaczęły głośno pokrzykiwać sroki. Zachowywały się dokładnie tak samo, jak ich „siostry”, gdy dostrzegą wychodzącego z naszego domu Mruczka. „Kupił, nie kupił, potargować można”, więc zdecydowaliśmy się to sprawdzić i wtedy właśnie powstał portret patrzącego w obiektyw rysia.

Doskonałymi „detektorami” drapieżników są kruki. Zwykle wskazują miejsce, gdzie leży upolowany przez wilki jelen, ale potrafią też zaanonsować samego drapieżcę. Przemieszczające się wzdłuż potoku kruki, charakterystycznie pokrzykujące na coś idącego w lesie pod nimi, pozwoliły nam przygotować się do zrobienia zdjęcia wilka, zanim jeszcze go wypatrzyliśmy w gęstwinie. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że poza słynnym wyciem oraz znanym z filmów warczeniem i poszczekiwaniami, zwierzęta te potrafią wydawać z siebie także wysokie popiskiwanie.



FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BILIŃSCY

ZYS W NATARCIU

Ostre jak brzytwa szpony, mocny dziób i rozłożyste skrzydła – oto portret orła przedniego, króla bieszczadzkich przestworzy. Mało kto zna jego drugą nazwę: zys.



FOT. AGNIESZKA I WŁODZIMIERZ BILIŃSCY

CZMYCHNAŁ ZAJĄC, NIE CZEKAJĄC

Jedno z najczęstszych pytań, które padają podczas naszych wieczorów autorskich, brzmi: „Czy nie boją się państwo dzikich zwierząt?”. Wydaje się, że na bardziej popularnych szlakach jest całkiem bezpiecznie. Zwierzyna uczy się szybko, gdzie może natknąć się na turystów, i raczej omija takie miejsca. Bieszczadzkie niedźwiedzie jeszcze nie przyswoiły sobie wiedzy i zachowań swoich kuzynów z Tatr i nie zaglądnęły masowo do śmietników przy schroniskach. Statystycznie nic groźnego nie

powinno się zdarzyć i w innych rejonach, ale sporadycznie w lokalnej prasie pojawiają się doniesienia o ataku niedźwiedzia na człowieka. I to w zasadzie jest jedyne zwierzę, którego się obawiamy, bowiem miśki są niezwykle silne, szybkie i nieprzewidywalne. Na szczęście starają się nie wchodzić ludziom w drogę.

Owiane złą sławą wilki nie stanowią jak dotąd zagrożenia dla *Homo sapiens*. W powojennej historii Polski nie udokumentowano żadnego ataku wilków na człowieka. Wieki przesładowań nauczyły je respektu wobec nas. ○



**Agnieszka
i Włodzimierz Bilińscy**

Autorzy 40 albumów fotograficznych o Polsce. Współzałożyciele Związku Polskich Fotografów Przyrody. Tworzą blogi podróżnicze i przyrodniczy oraz vlog o zakątkach Morza Bałtyckiego. Prowadzą warsztaty fotograficzne w Bieszczadach i na Bałtyku.



JAZDA PO AMAZONCE

Piotr Chmieleński



FOT. DAWID ANDRES



Jest 3.30 nad ranem czasu środkowoamerykańskiego. Jadę w kierunku Chicago. I nawet tu, na autostradzie, Amazonka jest ciągle ze mną. Prowadzę ciężarówkę z przedmiotami z aukcji Amazon.com, a na naczepie jest wielki napis „AMAZON”. Niby to nie ma nic wspólnego z rzeką, ale dla mnie jest to niezwykle wymowne – zaczyna Dawid Andres jedną z opowieści do powstającej książki o wyprawie rowerowej po Amazonce, którą odbył z bratem, Hubertem Kisińskim.

Trasą, która wiodła od Pacyfiku do Atlantyku, przez andyjskie szczyty i tropikalną dżunglę, trzy państwa, trzy strefy czasowe oraz kilka rewirów szlaku narkotykowego, rowerzyści w sześć miesięcy pokonali ponad osiem tysięcy kilometrów. Jechali wzdłuż i płynęli po największej rzece świata.

ROWER NA FALI

Być może Czytelnicy zatrzymali się w tym momencie i zastanawiają nad sformułowaniem „płynęli po rzece”, skoro wcześniej wspomniano, że podróż odbyła się na rowerach. Sam ze zdziwieniem i powątpiewaniem podszedłem do pomysłu Dawida, by część wyprawy odbyć drogą wodną na pojazdach przypominających



DAWID ANDRES

SŁAWA PŁYNIE SZYBCIEJ

Mało kto w brazylijskim dorzeczu Amazonki nie słyszał o „chłopakach z rowerów”. Atrakcją dla miejscowych była wspólna fotografia z Polakami, nie mówiąc o możliwości zaferowania im noclegu.

katamarany, w których zamiast kół do ram rowerowych będą przymocowane płozy pontonowe. Wspierałem wiele różnych wypraw, ale ta zakrawała na szaleństwo. Amazonka to przecież nie Warta, na której były testowane prototypy. Obawiałem się, że nie sprawdzą się na ogromnej rzece i nie wytrzymają starcia z pierwszą większą falą.

– Zastanawiałem się, dlaczego tak ciągle się dopytujesz, czy rower na pewno wytrzyma na wodach Amazonki – wspomina Dawid. – Myślałem sobie, że po prostu będę pedałował i płynął. Wielkie rzeczy! A potem zrozumiałem, skąd twoje pytania. Nie wyobrażałem sobie takich fal i sztormów na rzece!

Rowery wytrzymały, choć Hubert, który w trakcie wyprawy zyskał miano brylantowej rączki, miał sporo pracy przy ich naprawianiu

i wzmacnianiu. I to właśnie te specyficzne pojazdy, zwane rowerami amazońskimi, zdecydowały o niezwykłym charakterze ekspedycji.

Dla pochodzącego z Gorzowa Wielkopolskiego 41-letniego Dawida Andresa podróżowanie to esencja życia. Najpierw poznawał świat wraz z bohaterami ulubionych książek, potem pływając statkami, a odkąd zamieszkał w USA – jeżdżąc ciężarówkami. Aż wreszcie przyszedł moment na zrealizowanie własnej wyprawy, takiej, o jakiej do tej pory tylko czytał i marzył – przeżycie wielkiej przygody na Amazonce.

Po przeanalizowaniu kosztów uznał, że najtaniej będzie podróżować rowerem. Niezbędny był pojazd, który umożliwi jazdę po drogach lądowych (zwłaszcza w górnej części Amazonki, gdzie toczy ona rwący nurt przez

ROWEROMORFOZA

Przed zwodowaniem roweru amazońskiego trzeba było nieco zmienić tradycyjną konstrukcję.



Andy) oraz płynięcie po wodzie. I tak powstał opisany wcześniej rower amazoński. A ściślej – dwa rowery.

Ten drugi przypadek w udziale młodszemu o osiem lat bratu Dawida, Hubertowi. – *O wyborze Huberta zdecydowały jego ponadprzeciętne zdolności znajdowania sensorowego rozwiązania w sytuacjach bez wyjścia. Potrzebuje pięciu minut, żeby naprawić rzecz, którą widzi pierwszy raz w życiu* – żartował Dawid, opowiadając o rekrutacji uczestników ekspedycji. Poza smykalką do mechaniki niezwykle cenne okazały się również inne umiejętności młodszego brata, jak gotowanie, czy te nabyte w dżungli, na przykład posługiwanie się maczetą.

Przed wszystkim jednak zaproszenie w podróż po Amazonce było dla Huberta zbawienną ofertą pomocy w poskładaniu

NIE DEPTAĆ TRAWY

Pamiętaj, aby nie wjeżdżać w trawę. Rower to nie kosiarka. Gęsta roślinność przybrzeżna uniemożliwia pedałowanie i wkręca się w śrubę.





FOT. DAVID ANCKES



FOT. HUBERT TYSIŃSKI

GDZIE TEN POCZĄTEK?

Chcąc płynąć od początku, trzeba udać się do ukrytych w niedostępnym terenie źródeł (jeziorko Ticlla Cocha) między Arequipą a Cuzco i spośród tysiąca dopływów odnaleźć właściwą rzekę.

swojego życia na nowo, odbiciu się od dna, na które spadł przez narkotyki i dopalacze. Teraz tylko od niego miało zależeć, jak wykorzysta czas z dala od dawnych znajomych, w nowym otoczeniu, w zetknięciu z nowymi wyzwaniem, i jakie wnioski wyciągnie z tej amazońskiej terapii.

WSTRZAŚNIĘCI I ZMIESZANI

Początek września 2015 roku. Krótka kąpiel w oceanie i w drogę! Jazda na rowerach, nawet ciężko obciążonych dobytek, to czysta przyjemność. „Serce roście, patrząc na te czasy”, jak powiedziałby Kochanowski – za plecami bezmiar oceanu, z przodu bezmiar gór pięknie zarysowujących się na tle błękitnego nieba. Oczy chłoną te widoki z zachwytem. Ale wkrótce płaska droga zaczyna piąć się w górę i już tak lekko nie jest.

Bagaż zaczyna ciężać coraz bardziej. Wkrótce bracia solidnie je odchudzą, bo dźwigać dodatkowe kilogramy na wysokości 4000 m n.p.m. nie sposób, zwłaszcza gdy dają się we znaki choroba wysokościowa i zmęczenie. Dolegliwości związane z brakiem tlenu czy przenikliwe zimno nie powstrzymały jednak podróżników przed kąpielą w lodowatej

wodzie jeziora Ticlla Cocha, gdzie znajduje się stałe źródło Amazonki. Tym symbolicznym chrztem, podekscytowani i wzruszeni, rozpoczęli swoją przygodę.

Jechali, gdy się dało, pchali rowery z jednego szczytu Andów na drugi, trzeci, piąty... aż przestali je w końcu liczyć, i dotarli do tego ostatniego, skąd rozciągał się już widok na soczystą zieloną dżunglę amazońską. Stąd odbył się zjazd i początek etapu wodnego wyprawy.

To był przełomowy moment. Pierwsze wodowanie rowerów amazońskich. Pierwsze metry przepedałowane na rzece. I pierwsze modyfikacje konstrukcji, tak by możliwe było ruszenie na pełną wodę. A potem... pełna sielanka.

– *Odbijamy od brzegu, wpływamy na główny nurt rzeki. Patrzę na Dawida, Dawid patrzy na mnie. Coś nie gra! Nie pedałujemy, a płyniemy!* – Hubert relacjonuje swoje pierwsze chwile na wodzie. Po trudach jazdy w górach podróż rzeką okazała się całkowitym relaksem. Woda niosła, a rowerzyści całymi dniami wylegiwali się na deskach, które grały rolę pokładów na ich rowerokatamaranach. Drzemali, słuchali muzyki, uczyli się hiszpańskiego, posilali się i marzyli.

SZPRYCHY POD KOŁDRĄ

Łóżka w motelu były tak krótkie, że wygodnie mogły leżeć w nich tylko rowery.



Ze stanu błędnego lenistwa wyrwał ich ogromny wir. Najpierw zaczęło kręcić Hubertem. Kiedy po czwartym okrążeniu wyrzuciło go na spokojną wodę, w epicentrum żywiołu znalazł się Dawid. Zasasywany przez głęboki lej, nie był w stanie wyrwać się z matni. Pomyślał, że liczyć już może tylko na cud. I cud się stał – nagle wir ustał, a woda podeszła do góry, wypychając skołowanego rowerzystę na powierzchnię.

Wielkie fale na rzece pojawiły się kilka kilometrów przed Iquitos. Powstały w efekcie silnego trzęsienia ziemi. Dla rowerzystów była to krótka rozgrzewka przed prawdziwie wzburzoną Amazonką.

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Wieść o dwóch Polakach, którzy podróżują dziwnymi pojazdami po rzece, niosła się szybko w dorzeczu Amazonki, docierając przed nimi do kolejnych miejscowości. Ilekroć rozmawiałem z Dawidem i Hubertem na trasie ich podróży, zawsze słyszałem opowieści o wspaniałych ludziach, których spotykali na swojej drodze. Uknuli wręcz teorię o posiadanym skanerze, za pomocą którego wychwytyują przyjaznych im mieszkańców odwiedzanych

wiosek, miasteczek i miast. A to ktoś zaferował nocleg, a to podarował jedzenie, a to pokazał ciekawe miejsca.

Nawet w najbardziej rejonach Peru tubylcy dzielili się posiłkiem z *gringos*. Gromadzili się przy ich namiocie, obserwowali z zaciekawieniem każdy krok i czynność. Cieszyli się, kiedy roześmiani biali grali z nimi w piłkę nożną albo częstowali ich dzieci frytkami z juki, które Hubert smażył przez pół nocy.

Kiedy w Tabatinga, na pograniczu trzech państw, poprosili o miejsce na nocleg na przycumowanej do brzegu barce, od razu poczuli, że trafili w niezwykle miejsce i do niezwykle ludzi. Od pierwszych chwil rozmowy obie strony miały ciekawe wrażenie, że doskonale się znają, choć dopiero co się spotkały. Może to taki bożonarodzeniowy prezent od losu dla Dawida i Huberta, bo akurat nastąpiły święta.

Barka i jej mieszkańcy: Marta, Jorge, córka Marty Nicole i jej chłopak Jesus Fabian stali się dla braci namiastką ich domów i rodzin, za którymi tęsknota w ten świąteczny czas była bardziej intensywna. Zgodnie z miejscową tradycją była kolacja, szampan i fajerwerki oraz, według polskiej tradycji, opłatek przywieziony przez braci i chwila zadumy oraz wzruszenia przy dzieleniu się nim.

PANTA REI

Wiele tysięcy kilometrów największej rzeki świata to najlepszy sposób na transport ludzi i towarów w Ameryce Południowej.



FOT. HUBERT KUSŃSKI

NIE PCHAJ RZEKI, SAMA PŁYNIE

Marzenie zmęczonego rowerzysty? Zsiąść z roweru, położyć się obok i jechać przy tym dalej.

POD WPŁYWEM RZEKI

Dorzecze Amazonki pomiędzy Tefé a Manaus cieszy się złą sławą rejonu kontrolowanego przez handlarzy narkotyków, przemytników i bandytów. By przygotować się na spotkanie z piratami, Dawid i Hubert ograniczyli swój bagaż do minimum. Poza GPS-em, małym aparatem i kilkoma osobistymi drobiazgami większość dobytku wysłali do Manaus za pośrednictwem spotkanego Polaka.

Przez kilka dni płynęli w napięciu, aż wreszcie na horyzoncie pojawiła się piękna duża łódź. Szybko podpłynęła do rowerów, a przed Dawidem i Hubertem stanęło pięciu kolorowo ubranych piratów. Dzięki taktyce zalewania przeciwnika potokiem słów stosowanej przez Dawida, zarówno z tego, jak i kolejnych dwóch spotkań z amazońskimi gangsterami, braciom udało się wyjść cało. Okazuje się, że czasem gadulstwo popłaca.

„Fale wielkie na dwa metry cofają nas. Od dwóch godzin jesteśmy ciągle w tym samym miejscu. I nie widzę Huberta” – pisał Dawid wkrótce po opuszczeniu Manaus. Im bliżej Atlantyku, tym częściej na wodach ogromnej

już Amazonki pojawiają się sztormy. Zdani na łaskę i niełaskę żywiołu, bracia toczyli walkę z silnym wiatrem, kaskadami wody lejącej się z nieba, a przede wszystkim rozszalałą rzeką szarpiącą rowerami bez litości.



Katastrofa nastąpiła nieopodal Santarém – rower Huberta rozpadł się, uderzony przez falę. Co dalej? To był właśnie ten moment, kiedy młodszy z braci, walczący z uzależnieniem, próbujący posklejać swoje życie, pokazał nową siłę i niezłomność. Natychmiast zabrał się do naprawiania i umacniania rowerów, przekonany o tym, że nic nie powstrzyma ich przed osiągnięciem celu.

Po przepłynięciu budzącego zachwyt systemu kanałów, jakie tworzy Amazonka pomiędzy Gurupá a Breves, bracia po dalszej walce z falami, wiatrami i sztormami, dotarli do miejscowości Oeiras do Pará. Stąd drogą lądową zdecydowali się przejechać do Belém, a potem dalej aż do Atlantyku. Droga, jak się okazało, widniała jedynie na mapie Google. W efekcie i w wielkim skrócie Dawid i Hubert zafundowali sobie szkołę przetrwania w postaci wędrówki z rowerami przez gęstą dżunglę. I to dwukrotnej, bo mała pomyłka odnośnie do kierunku kosztowała ich powtórny przeprawą przez dziki tropikalny las.

4 marca 2016 roku Dawid i Hubert zanurzyli się w ciepłej wodzie Atlantyku. Wreszcie u celu! Pół roku temu w Pacyfiku była chłodniejsza, zlodowaciała w jeziorze źródłowym Amazonki Ticlla Cocha. Tu jest ciepła, łagodnie kojąca, zwiastująca kres podróży. A więc udało się! Pierwsza w historii podróż rowerem wzdłuż i po Amazonce stała się faktem. ○

Największe targi KONTRAKTACYJNE
w Europie Środkowo-Wschodniej
Międzynarodowe Targi Rowerowe

KIELCE
BIKE
EXPO
29.09-1.10.2016

www.bike-expo.targikielce.pl
www.facebook.com/KielceBikeExpo

Targom towarzyszą:



Mazovia MTB Marathon
Maraton Kielce Bike Expo
1 października 2016



MARATON Kielce Bike Expo
BIKE MARATON
wrzesień 2017



LOTTO POLAND
BIKE MARATHON

ORGANIZATORZY:



polskie stowarzyszenie rowerowe
organizacja polskiej branży i przemysłu rowerowego

Współpraca:

Patronat medialny:



velonews.pl

BIKEWORLD.PL

BIKEWORLD.PL

R E K L A M A



FOT. DAWID ANDRES



MATERIAŁY PRASOWE KOŁOSY, FOT. ADRIAN LARSZ

WYCZYN ROKU

Hubert Kisiński
i Dawid Andres
z Kolosem
za rok 2015.



Piotr Chmieliński

Kajakarz, eksplorator i biznesmen. Współorganizator wyprawy Canoandes'79, która w 1981 r. dokonała pierwszego spływu kanionem Colca. Na przełomie 1985 i 1986 r. jako pierwszy człowiek w świecie przepłynął pontonem i kajakiem Amazonkę, od źródła do ujścia w Atlantyku. Wyprawa została opisana przez jej uczestnika Joe Kane'a w bestsellerowej książce „Z nurtem Amazonki”.



FOT. SEM PAVONE - SHUTTERSTOCK

Mikołaj Gospodarek

ŚWIĘTO PIWA



Chociaż w nazwie ma październik, rozpoczyna się we wrześniu. Monachijski Oktoberfest to jeden z największych festynów ludowych na świecie – każdego roku przyciąga do Bawarii sześć milionów turystów.

nowany. Po roku postanowiono je powtórzyć i tak po latach festyn przerodził się w obecnie znany Oktoberfest, choć na początku impreza miała charakter wyłącznie sportowy. Łąki, na których się odbywała, nazwano imieniem królowej – do dziś noszą miano Theresienwiese.

Trwające ponad dwa tygodnie święto piwa narodziło się dzięki zabawie zorganizowanej przy okazji ślubu księcia Ludwika. Wraz ze swoją wybranką Therese von Sachsen-Hildburghausen urządzili ją na łąkach nieopodal miasta. Było to 17 października 1810 roku, pięć dni po ślubie pary. Późniejszy król Bawarii zafundował mieszkańcom wyścigi konne stylizowane na starożytną olimpiadę, którą był zafascy-

PIJ, BO SIĘ ZEPSUJE

Błędne byłoby stwierdzenie, że tego typu festyn ma za sobą jedynie 200 lat tradycji. Sama idea Oktoberfestu, czyli święta październikowego, narodziła się z dość prozaicznej przyczyny – Bawarskie Prawo Czystości z 1516 roku pozwalało na warzenie trunku

**PROST!**

Oktoberfest to spotkania przy piwie i zabawa do białego rana. Rezerwacje na miejsca w piwnych halach trzeba robić z rocznym wyprzedzeniem.

tylko w określonym czasie: od 29 września do 23 kwietnia. W wielu wioskach, miasteczkach i miastach odbywały się więc festyny, na których spożywano nadmiar uwarzonego wcześniej piwa. Nie było lodówek, więc browary pozbywały się zapasów. Serwowano wtedy głównie piwo marcowe, mocne, typu lager. Produkuje się je na początku wiosny z resztek słodu, który pozostał. Przed spożyciem leżakuje aż do września i z tego powodu było nazywane Oktoberfestbier, bo królowało podczas październikowych festynów.

Monachijski Oktoberfest obecnej formuły nabierał powoli, bo dopiero w 1880

roku władze miasta zezwoliły na sprzedaż piwa. Nie dotyczyło to jednak wszystkich – prawo otrzymały jedynie tradycyjne monachijskie browary, które zachowywały prawo czystości. Regulowało ono składniki – słód jęczmienny, woda i chmiel – tylko te trzy elementy mogły tworzyć złoty trunek. Historia wiele razy reformowała to prawo, ale na monachijskich łąkach pomimo zmian w przepisach spotyka się te same browary. Dzisiaj trudno tu znaleźć typowe piwo marcowe, które zastąpił zwyczajny lager. Impreza stała się na tyle popularna, że jej kopie odbywają się na całym świecie i wszędzie

cieszą się dużą popularnością, choć nie taką, jak w Monachium.

Festyn z tak długą tradycją rządzi się swoimi prawami. Na odwiedzających czeka około 14 hal piwnych – największe dadzą miejsca siedzące dla nawet 10 tysięcy osób. Żłudne będzie jednak myślenie, że bez problemu można napić się tu piwa wieczorem przy rytmach bawarskiej muzyki. Od 17.00 do późnych godzin nocnych większość stolików jest zajęta. Miejsca można, a nawet trzeba, zarezerwować wcześniej. Dobrze jest to zrobić z rocznym wyprzedzeniem! Można również zapomnieć o możliwości kupienia piwa w długich rzędach straganów – tam nie sprzedaje się alkoholu, a jedynie prele, słodycze i pamiątki. Wieczorem trudno nawet wejść do hali piwnej. Z tego powodu odwiedzam Oktoberfest głównie wczesnym popołudniem w środku pierwszego tygodnia i mogę wtedy bez ścisłu poświętować przy ponadlitrowym kufłu piwa. To tzw. Maß, mieszczący 1,069 litra. Jego cena z roku na rok rośnie i w 2016 r. wyniesie ponad 12 euro za kufel.

Organizatorzy szacują, że przeciętny gość festynu wydaje podczas jednodniowej wizyty około 50 euro, bo trudno nie spróbować bawarskich kielbas, knedli czy pierników. Całe błonia są gęsto zastawione przez wesołe miasteczko, które oferuje zabawę dla najmłodszych, ale również szalone kolejki górskie czy zawieszane wysoko nad ziemią karuzele. Wiele z tych urządzeń gości w Monachium od dziesiątków lat i mimo nowoczesnej konkurencji cieszy się dużym zainteresowaniem i sympatią turystów. Można się świetnie tu zabawić, i to niekoniecznie korzystając z procentów.

SPACERKIEM DO BMW

O dziwo, taka masa turystów nie paraliżuje miasta. Monachium od lat jest świetnie przygotowane na ten jesienny zlot miłośników piwa i dobrej zabawy. Jedna z linii metra ma stację tuż przy Oktoberfestie, a lubiącym spacerować dojeżdżać z dworca głównego zajmie 15 minut. Zwiedzający centrum z Marienplatz spacerkiem dostaną się tam w niespełna 30 minut. Niestety większość

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



PO ZBÓJU

Legendy głoszą, że najsilniejsze kelnerki potrafią przenieść nawet 10 kufli za jednym razem. Jedno takie naczynie mieści aż 1,069 litra piwa.

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



SERCE Z FESTIWALU

Cały teren wypełniają stragany. Kupić tu można prawie wszystko, jednak piwo jest serwowane wyłącznie w halach.

FANTAZJE KRÓLA LUDWIKA

Neuschwanstein powstał od 1869 roku jako wyidealizowany średniowieczny zamek rycerski dla władcy bawarskiego Ludwika II, zwanego Szalonym lub Bajkowym Królem.

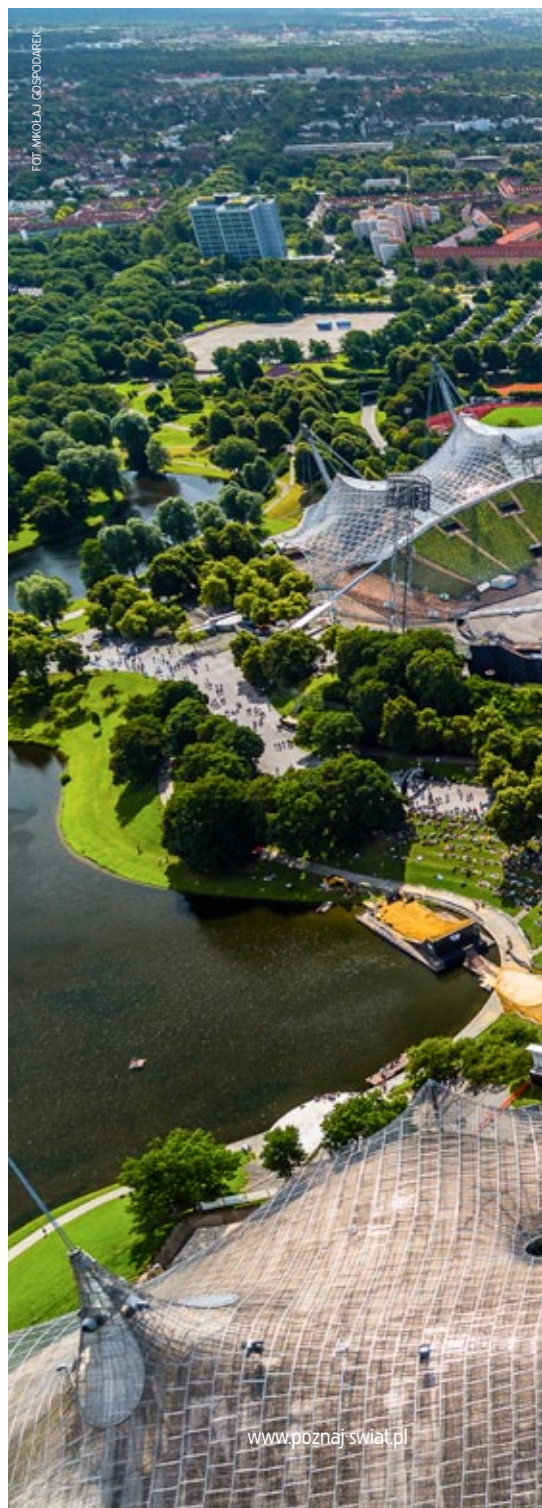
hotele w tym czasie ma dużo wcześniej zarezerwowane pokoje, ale dobrym rozwiązaniem jest nocleg poza miastem, przy trasach szybkiej kolei miejskiej (S-Bahn), która dojeżdża do samego centrum z położonych nawet kilkadziesiąt kilometrów dalej miejscowości.

Oktoberfest może okazać się świetnym pretekstem do poznania Monachium, a również do wybrania się w pobliskie Alpy.

Miasto jest dość trudne do zwiedzania, bo ogromne i brakuje w nim ściśle określonego centrum. Jego główna część rozciąga się na kilka kilometrów i wszędzie jest coś ciekawego. Obowiązkowo trzeba odwiedzić plac Mariacki (Marienplatz) z charakterystycznym neogotyckim ratuszem, na którego murach uwieczniono historię Bawarii. W pobliżu znajduje się przepiękny teatr, rezydencja



FOT. MIKOLAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOLAJ GOSPODAREK

i bajkowy Hofgarten – ogród w samym środku wielkiego miasta.

Niedaleko jest też jeden z największych na świecie naturalnych parków miejskich – Englischer Garten, gdzie długimi godzinami można spacerować jak po lesie, wśród kanałów, stawów i wielowiekowych drzew. Tu również można wypić bawarskie piwo i skosztować specjalów niemieckiej kuchni, w drugim co

do wielkości ogrodzie piwnym w Monachium, tuż przy pagodzie Chinesischer Turm z 1790 roku. Bardzo popularne jest zwiedzanie tej części miasta na rowerze, który można wypożyczyć w wielu miejscach.

Po niespełna 10 minutach jazdy linią metra U3 swój raj odnajdą miłośnicy sportów – Olympia Park to miejsce, które od lat 70. jest ikoną miasta. Najlepszy widok na Monachium

WIDOK ZNAD KOTLETA

Park olimpijski w Monachium, w którym odbywały się zawody podczas letnich igrzysk w 1972 roku. Ten widok rozciąga się z wieży, gdzie znajduje się obrotowa restauracja.



NA DACHU NIEMIEC
Zugspitze (2962 m n.p.m.)
to najwyższy szczyt
górski w tym kraju.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

CIEŃ WIELKIEJ GÓRY
Zimą cień rzucany przez
górze Karwendel skrywa
miejscowość Mittenwald
w mrokach. Na szczęście
od wiosny do jesieni króluje
tu słońce i niezwykła
atmosfera typowego
bawarskiego miasteczka.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

rozciga się z wieży pośrodku parku – spacer 190 metrów nad ziemią robi niezwykle wrażenie. Lubiącym ciekawe przygody polecam wypicie kawy czy zjedzenie obiadu w obrotowej restauracji zawieszanej 182 metry nad ziemią. Jej pełny obrót zajmuje 53 minuty, więc deser można zjeść z tym samym widokiem co zupę. Tuż obok znajduje się nowoczesna hala wystawowa BMW Welt, w której można podziwiać najnowsze modele motoryzacyjnego giganta. Miłośnicy historii samochodów i ciekawych form wystawienniczych zachwycą się muzeum BMW, które mieści się w pobliżu, w futurystycznym budynku.

SPRAGNIENI NIE TYLKO PROCENTÓW

Zmęczeni gwarem? Niespełna 100 km od miasta można odnaleźć widoki niczym z bajki. Polecam wybrać się w pasjonującą podróż pociągiem z Monachium do Mittenwaldu. Niemieckie koleje oferują bardzo korzystne cenowo bilety, które przez cały dzień pozwalają na przemieszczanie się po Bawarii.

Do ciekawych atrakcji należy najwyższy szczyt Niemiec – Zugspitze (2962 m n.p.m.), gdzie można wjechać kolejką, która startuje z samego centrum Garmisch-Partenkirchen. W okolicy nie brakuje zresztą miejsc widokowych – góra Wank czy kolejka Alpspitze dostarczą niezłej dawki wrażeń i plenerów. W Garmisch trzeba zobaczyć skocznię narciarską i koniecznie udać się na godzinny spacer do wąwozu Partnach. W wąskich szczelinach widać potęgę natury, z jaką woda drążyła te skały.

Dalsza podróż w kierunku Mittenwaldu prowadzi niezwykle malowniczą, pnącą się w górę trasą pośród lasów i łąk tej alpejskiej krainy. Niewielkie pasterskie chatki, tętniące wodą potoki i po chwili widać już ogromną ścianę górującego nad regionem pasma Karwendel. Mittenwald wita podróżnych przyjemnym dworcem. Dojście do centrum zajmuje parę minut, a spacer po głównej ulicy – Obermarkt – to uczta dla oczu. Malowane domy zachwycą każdego, a smak, z jakim utrzymano charakter tej ulicy, wprawia w osłupienie. Znajdują się tu restauracje, supermarket i wiele sklepów o najróżniejszym asortymencie



Supported by:
Federal Ministry
for Economic Affairs
and Energy

on the basis of a decision
by the German Bundestag

Niemcy
Po prostu przyjazne



www.germany.travel



Zapierające dech w piersiach widoki! Doskonale oznakowane szlaki wędrowne o łącznej długości ponad 200.000 km, to raj dla miłośników aktywnego wypoczynku. Czy przez idylliczne lasy i rozległe parki narodowe, czy przez bajkowe, górskie krajobrazy – tu każdy znajdzie własną ścieżkę.
Do zobaczenia na szlaku: www.germany.travel/enjoy

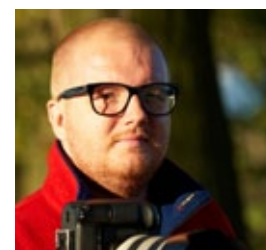
_inna perspektywa

R E K L A M A

– mimo wszystko człowiek ma wrażenie, jakby spacerował po skansenie.

Droga powrotna do Monachium to dobry czas na odpoczynek i podziwianie sielskich krajobrazów z okien pociągu. Bawaria nigdy nie pozwoli turyście nawet na chwilę znudzenia – niezależnie od pogody jest tu zawsze co robić. Wiele osób przy okazji Oktoberfestu odwiedza Neuschwanstein i Linderhof – dwa zamki Ludwika II. Jego przydomki „Szalony” czy „Bajkowy Król” całkowicie odpowiadają fantazji, z jaką stworzył te miejsca, które stały się symbolem Bawarii.

Oktoberfest przyciąga spragnionych wyjątkowych wrażeń. Kojarzona ze spokojem bawarska kraina to raj dla osób w różnym wieku i z różnymi oczekiwaniami. Nikt nie wyjedzie z monachijskiego Oktoberfestu niezadowolony! ○



Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

AFRYKA | Tunezja

KOGEL-MOGEL DLA KAŻDEGO

Tomasz Owsiany





Legendarna Kartagina leży raptem trzy godziny drogi od Warszawy. Podobnie jak cała Tunezja, z jej bogactwem historii, splotami kultur i kojącymi krajobrazami w tonacji kogla-mogla. Kraj liberalny i postępowy, który odgradził się murem od libijskich sąsiadów i walczy o powrót turystów. Co jednak na nich czeka przy głównych szlakach: naturalna autentyczność czy autentyczna sztuczność?

OWCE PRZEZ MANOWCE

Pasterze pędzący owce i kozy są na stałe wpisani w krajobraz Tunezji stepowej. Zwierzęta znajdują coś do wyskubania nawet na piaszczystym półpustkowiu.

U progu tunezyjskiego lata łany zbóż falują w kilkubarwnym pejzażu. Z gniazd na przydrożnych słupach bociany przyglądają się pierwszemu żniwom i stadom owiec. W swoich płowych ramach krajobraz zmienia się wielokrotnie i stepowieje im dalej od północnego wybrzeża. Łysieją zbocza gór. Rzedną eukaliptusy i tamaryszki, a drzewa oliwne rosną

w coraz luźniejszych gajach, nadrabiając braki wody rozpiętością korzeni. Miasteczka wtapiają się w okolicę. Z ich sylwetek zawsze wybija się wieża minaretu. To był załęczek. Jeśli ktoś na pustkowiu stawiał meczet, zakładał nowe miasto. Wiele domów ogradzają żywopłoty z opuncji, zasieki nie do sforsowania! Jej smaczne, purpurowe buławy nazywa się królem owoców – są bardzo zdrowe i same się uprawiają.

Na ulicach lokalny koloryt miesza się z użytkową nowoczesnością. Na pakach furgonetek piętrzą się melony i arbuzy, w skrzynkach – morele i zielone migdały. Krowi łeb wisi na haku przed masarnią, z dosłownością, którą u nas wypiera się za mury zakładów mięsnych. W kawiarniach mężczyźni popijają herbatę i pociągają fajkę wodną. Spędzają czas na grach i gawędach, choć coraz częściej tkwią z nosem w telefonie. Obok zwykłych wałkonów wysiadują też majstrowie, którzy przy stoliku czekają na zlecenie. W okolicy wiadomo, że elektryk będzie czekał tu, a hydraulik tam. Sporo można się dowiedzieć, gdy obserwuje się życie z okna autokaru i podpytuje obeznanego przewodnika. A droga na południe, do piaszczystego królestwa Berberów, jest długa...



FOT. TOMASZ OWSIANY



FOT. TOMASZ OWSIANY

ŻYCIE W KAMIENIU

W rejonie Matmaty górzysty teren kryje etnograficzny skarb. Siedemset domostw wydrążonych w powierzchni skał, które po dziś dzień zamieszkuje pół tysiąca berberyjskich rodzin. Zwykło się nazywać ich Troglodytami, dosłownie „ludźmi z jaskiń”. Z góry centralne podwórza gospodarstw przypominałyby głębokie ślady olbrzyma. Pomieszczenia są wykute na dwóch poziomach we wszystkich ścianach. Zaoblone wejścia przywodzą na myśl kryjówki baśniowych istot. Być może widział je oczyma wyobraźni George Lucas, który w tej okolicy nakręcił kilka części „Gwiezdných wojen”.

Skalne domy były rodzajem fortyfikacji, dzisiaj chronią najwyżej przed skwarem. Wewnątrz skromne, ale schludne. Wyposażone całkiem współcześnie – w jednym z pomieszczeń stoi agregat i telewizor. Zapasy wody uzupełnia deszczówka spływająca kamienną rynną do przydomowej studzienki. Gospodarze częstują herbatą, oliwą i aromatycznym miodem, w którym można zanurzyć kawałki płaskiego chleba. Piecze się go na ściankach glinianego pieca *tabouna*. Tak, można by tu pomieszkać!

W górskiej oazie Szabika nieopodal granicy z Algierią geologom muszą świecić oczy na

widok falujących wałów skalnej materii. Tworzą one ściany głębokiego wąwozu, w którym turkusowa woda spływa do niecek. Osadowe fałdy pełne są muszli, skamielin i sinych krzemieni. Zielone czupryny daktylowców wystają zza załomów i odprowadzają strumień aż do podnóża szczytów. Zejścia do wąwozu strzeże natomiast ucho igielne. Na dodatek spełnia życzenie każdego, kto się przez nie przecisnie. A jeśli się nie uda? Pozostają wspaniałe widoki pustkowia oraz mury osady założonej jeszcze w czasach rzymskich. Tętniło w niej życie aż do 1969 roku, kiedy to zniszczyła ją potężna powódź. Ot, ironia losu na skraju pustyni.

WIAGRA NIE ZAGRA

Matmata, Szabika i inne cenne zakątki kraju stały się jednak częścią turystycznej arterii. Obrastają cepeliadą. Przewodnik w oazie nawet nie stara się maskować znużenia. Deklamuje informacje w trudnym języku, którego się ambitnie poduczyl. Wielu pytań jednak nie rozumie. Prowadzi ścieżką wyslizganą tysiącami podeszew, żeby zatoczyć pętlę i wrócić do kawiarni, przy której wymalowano po

TROGLODYCI NA POKAZ
Jamkowate wejścia do pomieszczeń gospodarczych w pokazowym domu Troglodytów (z lewej). Kobieta rozpala ogień w glinianym piecu, zwanym *tabouna* (poniżej). Wszystko dla turystów.





FOT. TOMASZ OWSIANY

MASZ CHŁOPIE PLACEKI!

Pyszny berberyjski chleb powstaje tradycyjnie z dobrze wyrobionego ciasta, pieczonego w gorącym popiele – tutaj w wariacie restauracyjnym.

polsku: „Grubasy prosimy do nas” i „Wiagra dobrze zagra”. A wszystkiemu ze skarpy przygląda się kilkumetrowa kamienna owca berberyjska na żeliwnym zbrojeniu. W końcu oaza to atrakcja i trzeba ją ulepszać.

Przed pokazowym domem Troglodytów staruszka wynosi pęk chrustu i rozpala w piecu. Wraz z młodą towarzyszką (wnuczką?) wystawia poczęstunek na podwórzu. Taka praca. Dziewczyna patrzy wzrokiem znudzonej ekspedientki. Trudno o entuzjazm. Jedyne, co wyłapuje z obcej mowy, to „troglodyta” i rubaszne śmiechy. Czeką więc, aż ktoś przebierze się w berberyjską suknię i zapozuje do zdjęcia przy aplauzie reszty. I tak z każdym autokarem.

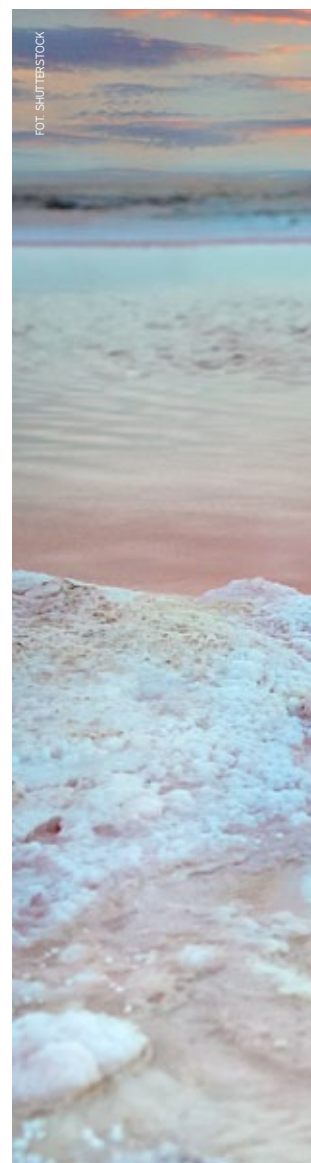
Próbuję dowiedzieć się czegoś od staruszki. Kobieta gestem ręki zaprasza do wnętrza w skalnej ścianie, siada przy kamiennym żarnie i mechanicznie zaczyna demonstrację. Dopiero po dłuższej chwili widzi, że chcę po prostu porozmawiać. Ledwie mówi po francusku, ale przyznaje, że na koniec dnia wracają do Nowej

Matmaty. „Wnuczka” upiera się jednak, że mieszkają tu na stałe. W końcu pozory autentyczności to ich główny towar.

JEDYNA SŁUSZNA ŁÓDKA

„Uwaga na wielbłądy!” ostrzegają znaki wzdłuż drogi do Tauzar. Rzeczywiście sporo tu stad drepczących malowniczo wśród suchorośli i faktycznie czasem decydują się dać susa przez asfalt. Potem jednak życie wokół szosy zamiera, a po obu stronach ukazuje się niezwykła kraina: Szatt al-Dżarid, wielkie słone jezioro. Ponad pięć tysięcy kilometrów kwadratowych, zmieniających barwy w zależności od składu chemicznego.

O tej porze roku jezioro wysycha, a pod stopami chrzęści chropowaty meszek. Wiatr marszczy powierzchnię ostatnich solankowych oczek, otoczonych krystalicznymi szyb-



FOT. SHUTTERSTOCK



kami. Gdzie nie spojrzeć, tam surowa pustka. Pod narzutą z mlecznoszarawych chmur rdzawa równina wygląda jak powierzchnia obcej planety. W pogodne dni upał sprowadza jednak na ziemię, a Szatt al-Dżarid zmienia się w bezkresną mineralną patelnię. Wówczas można tu doświadczyć zjawiska fatamorgany, a kto wie, może nawet ujrzeć w rozedrganym powietrzu maszyny Imperium Gwiazdowego?

Logo biura podróży na lichym szalasye na pewno się nie przywidziało. Jak i to, że autokar zatrzymuje się w jedynym słusznym miejscu, przy łódce z łopoczącą flagą Tunezji. Trzeba przypomnieć, że to jezioro, i dać coś do roboty, bo sam cud natury nie wystarczy. Więc turyści

gramolą się do kadłuba i robią zdjęcia. W ten sposób nawet tę wielką przestrzeń zamieniono w produkt. To słowo klucz, którego używa towarzyszący nam przedstawiciel izby turystycznej. Nawet gdy mowa o samotnej włóczędce po pasterskiej prowincji. To też byłby produkt, dobry produkt dla mnie.

ŚWIĄTYNIA STUDZENIA

Między miasteczkami Bechri i Zaouia, wśród saharijskich piasków, wyrasta żelbetowy blok. Podniszczony, pełen zacieków i wysoleń. Jest to pomysłowa stacja studzenia wód geotermalnych. Gdy w latach 70. okazało się, że zasoby

SŁONY SURREALIZM
Słone jezioro Szatt al-Dżarid. Falujące solanką i skrzące się krystalicznym nalołem. Inne w słońcu, inne pod płaszczem chmur. Raz rdzawe, raz ugrowe. Zawsze nieco surrealistyczne.

ze studni artezyjskich nie wystarczą już do nawadniania gajów daktylowego zagłębia Kibili, postanowiono wykorzystać do irygacji gorące wody głębinowe i opracowano system chłodzenia. Prosty w gruncie rzeczy.

Główny blok składa się z dwóch przeciwnych ścian i sklepienia. Parująca woda pompowana na górę spływa kaskadami i trafia na warstwy drewnianych żerdzi, które rozbijają strugi na krople. Wiatr wpadający z otwartych boków przyspiesza uwalnianie ciepła, wewnątrz buchają kłęby letniej pary. Zewnętrzne konstrukcje przypominające spłaszczone piramidy Majów odpowiadają za drugi etap chłodzenia. Podstudzona woda spływa kanałami na ich szczyt i rozlewa się na boki. Pokonuje kolejne progi i ulega dalszemu schłodzeniu jak

herbata przelewana ze szklanki do szklanki. Zmieszana z wodą z chłodnych źródeł trafia do kanałów irygacyjnych i płynie dalej w stronę gajów palmowych.

Okoliczni mieszkańcy wykorzystują to miejsce jako łaźnię turecką, *hammam*, oraz połowę pralnię. Dla turystów to z kolei znakomity punkt widokowy. Nie zagłada ich tu zbyt wielu i może dzięki temu nie zaczęto jeszcze niczego sprzedawać. To miejsce jest niemal zaginioną świątynią.

PIERWSZY RAZ RYBAKA

Ranek w mieście Al-Mahdijja jest akurat szaro i pada, więc turyści nie wystawiają nosa z hoteli. Na targu rybnym nieopodal portu

TO NIE PRZELEWKI

Trzy konstrukcje przelewające wodę przez piętrowe progi studzą wody termalne i nawadniają pobliskie gaje palmowe. W tle miasteczko Zaouia.



FOT. TOMASZ OWSIANY

też pustawo. Ktoś podjechał rowerem po filet z rekina. Stoją misy krewetek i małży, a na desce leży rozdziawiony łeb strzępiela. Pełno kształtów i kolorów. W skrzynkach w zwartym szyku rozmaite ryby: pagrusy i morlesze, kurki i dorady. – *Ustawione jak żołnierze!* – żartuje sprzedawca.

Pusto jest też na portowym nadbrzeżu. Wśród łódek i kutrów krząta się tylko dwóch rybaków, jeden z synem. Mężczyzna ma na imię Mondhir. Mówi, że dużo gorzej mu się wiedzie z powodu przemysłowych kutrów.

– *Łowią bezprawnie w wodach przybrzeżnych. Z Algierii, Libii, Malty, Włoch... chyba z całego Śródziemnomorza!* – wyjaśnia i przeprosza za swój francuski. Uczyl się go dwadzieścia lat temu, a teraz rzadko używa. Mimo

to radzi sobie dobrze. – *Spójrz. – Wyciąga rybę wielkości dłoni. – To jest kielec. Powinien mierzyć przynajmniej trzydzieści centymetrów. A ta – wyklada kolejną – powinna dochodzić do dwudziestu kilo. Ma ze dwa.*

Mondhir narzeka też na smak ryb. Ponoć już nie taki sam, odkąd powstały rybnie fermy. Zębacz, zwane po francusku wilkami morskimi, i inne ryby żerujące przy dnie, zaczęły żywić się karmą opadającą z hodowlanych kojców, przez co tracą na walorach. Ryby są odbierane przez furgonetki. Kupcy płacą dziś więcej za kilogram, bo coraz o nie trudniej. Niby wychodzi na to samo, ale Mondhir wołałby, żeby było po staremu. Mimo to dużo się uśmiecha, a w końcu żegna serdecznie i dodaje: – *Dziękuję za rozmowę! Pierwszy raz ktoś z turystów zainteresował się tym, co robię!*

BYŁA SOBIE TURYSTYKA

Rozrost potężnych hoteli przyciąga coraz więcej ludzi, których coraz mniej interesuje. Kurortowy mikrokosmos, gdzie zamiast śpiewu muezzina rozlega się karaoke nad basenem, dla wielu z nich staje się całym światem. W *all inclusive* zawarto wszystko, czego potrzeba do solidnego, konsumpcyjnego wypoczynku. Przy jego obsłudze pracują tysiące osób, tyle że w ten sposób kapitał kumuluje się w jednym miejscu, a drobni handlarze i właściciele knajpek rozsianych w mieście tracą. Jak wszyscy spoza wielkogabarytowej maszyny. Teraz jednak i ona ledwie zipie, a sytuacja robi się fatalna.

Tumult Arabskiej Wiosny i bieżące napięcia kulturowo-polityczne podcięły gałąź, a zamachy w Tunisie i nadmorskiej Susie wbiły gwóźdź do trumny. W ciągu ostatnich pięciu lat liczba turystów

SPA POD BLOKIEM

U podstawy bloku chłodzącego okoliczni mieszkańcy urządzą czasem łaźnię i kąpią się we wciąż ciepłych wodach geotermalnych.





WINA I ŚPIEW MUEZZINA

Choć statystycznie 80 procent Tunezyjczyków potępia picie alkoholu, wewnętrzny rynek winiarski ma się bardzo dobrze. Pierwsze winnice powstały w Tunezji w czasach kartagińskich.

w Tunezji spadła o jedną trzecią. Ubyło blisko osiemdziesiąt procent gości z Europy. Branża turystyczna wytwarzająca siedem procent krajowego PKB, zatrudniająca bezpośrednio pół miliona ludzi, dostała zawału. Dlatego przywrócenie poczucia bezpieczeństwa stało się dla władz celem numer jeden.

Mur na granicy z Libią to okruczeństwo w całym przedsięwzięciu. W bezpieczeństwo zainwestowano dwadzieścia procent budżetu państwa. Wprowadzono wiele niewidocznych procedur i rozmieszczono widoczne, uzbrojone patrole. Na ulicach nie czuć jednak napięcia. W kompleksach hotelowych zamontowano wykrywacze metali i zwiększono czujność. Samotny turysta meldujący się na jedną noc bez większego bagażu zostanie automatycznie zgłoszony policji jako podejrzany.

Z własnej inicjatywy ośrodki rozmieszczają dyskretne patrole i szkolą psy. W myśl zasady „ochrona przede wszystkim” przymyka się oko na nielegalne wały oddzielające hotelowe plaże, a za sojuszników bierze przemytników paliwa szmuglowanego z Libii. To oni dostarczają tanią benzynę do pocziwych stacyjek z kolorowymi galonami, które widuje się przy szosach. Władza przyzwala na kontrabandę w zamian za informacje o podejrzanych ruchach przy granicy. Co prawda standardy bezpieczeństwa wdraża się nierównomiernie, a drobne hotele i rodzinne biznesy są pomijane. Zazwyczaj oficjele zachowawczo odradzają samotną włóczęgę po prowincji. W tym roku jednak to w Europie dzieją się okropności, z Tunezji wszyscy wrócili cało.

TAK SIĘ SKŁADA

W porcie rybackim w Al-Mahdijja rybak Mondhir składa z synem sieci po nocnym połowie. Coraz rzadziej znajduje w nich duże sztuki.



Radio Gdańsk

Nie śpij,

zwiedzaj
z Radiem Gdańsk

Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 10:00 do 13:00.

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

WINNE KLISZE

Urokliwa winnica Neferis założona w 1881 roku leży w gubernatorstwie Grombalia u nasady półwyspu Al-Watan al-Kibli. Pod okiem młodej pasjonatki winiarstwa powstaje w niej wiele znakomitych trunków. W starannie wypalanych beczkach dojrzewa też wyjątkowy Cuvée Magnifique. Wyjątkowy, bo kryjący intensywny smak winogron podsuszanych trudną techniką *appassimento*. Dzięki niej każda kropla uwalnia w kieliszku wspaniałą bukiet. I to często w kieliszku samych Tunezjczyków.

Ale zaraz, jak to?! A religia? A zakazy? No właśnie. Już od lat 60., epoki wielkiego reformatora Habiba Burgiby, Tunezja przoduje w rozluźnianiu norm obyczajowych i uchodzi za ostoję tolerancji w regionie. Kobiety

w wielu dziedzinach prawa są równe mężczyznom. Mają dostęp do darmowej antykoncepcji i legalnej aborcji. Wieża kościelna potrafi tu stać szpicem w szpicie z minaretem, a hidżab noszony (dobrowolnie) do pary z džinsami nikogo już nie dziwi. Zgrzytamy zębami, kiedy na hasło „Europa Wschodnia” pytają nas o biedę, cyrylicę i czapki uszanki, ale sami sięgamy po wór stereotypów z naszymą „państwem arabskie”.

Tymczasem każda klisza oddala od prawdziwości i zrozumienia. Kliszą zaś jest też to, że każdy turysta musi zobaczyć te same miejsca i musi kupić skórę barana w siedmiu językach. Nie musi. Czasem wołałby po prostu poczuć ducha miejsca. Dostać mniej atrakcji, a więcej Tunezji w Tunezji. ○



Tomasz Owsiany

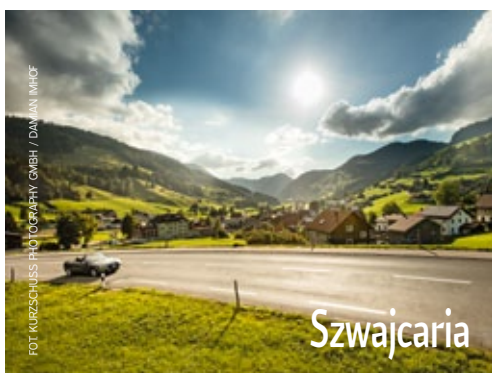
Absolwent filologii romańskiej UJ, miłośnik przyrody i przeciwnik masowej turystyki. Autor książki „Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie” wydanej w serii „Biblioteka Poznaj Świat”. Laureat Nagrody Dziennikarza oraz Wyróżnienia Kolosów (za rok 2015 za wyprawę „Pod ciemną skórą Filipin”).



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady





POWRÓT DO NATURY

51°01'N 22°45'E



Krzczonowski Park Krajobrazowy jest położony 35 km na południowy wschód od Lublina.



Dobrze czasem wejść w leśne ostępy, gdzie napotkanie drugiego człowieka to rzadkość. Gmina Krzczonów jest jedną z najmniej ludnych gmin powiatu lubelskiego. Przez ponad 30 km jedziemy drogą nr 835 aż do skrętu na Krzczonów-Sołtysy. Obok zbiornika retencyjnego znajduje się tablica informacyjna, gdzie u wejścia do rezerwatu przyrody Las Królewski zostawiamy samochód. Przez rezerwat prowadzi żółty szlak pieszy. Ścieżka nie jest długa, liczy 1,6 km. Po 200 metrach dochodzi się do Śmierdzącego Źródła. Z ziemi bije czysta woda, która nie zalutuje żadnym nieprzyjemnym zapachem. Skąd więc nazwa?

W czasie najazdu szwedzkiego w latach 1655–1656 w gęstych krzczonowskich lasach krył się ze swoimi litewskimi oddziałami wojewoda Paweł Sapieha, który nie zamierzał poddawać się Szwedom oblegającym w tym czasie Zamość. Torneskold, jeden ze szwedz-

kich pułkowników, z oddziałem wojska rozłożył się obozem między wsiami Krzczonów i Żuków. Nad ranem na niepodjętą zasadzkę najeźdźców runęli Litwini i wybili wrogów do nogi. Okoliczni chłopcy w obawie przed odwetem innych szwedzkich oddziałów nie pochowali pozostawionych na polanie ciał poległych. Upał sprawił, że ich rozkład postępował szybko, a w dodatku zainteresowały się nimi dzikie zwierzęta. Gdy chłopcy wreszcie zdecydowali się wejść do lasu, napotkali na pobojowisku makabryczny widok. Zmasakrowane ciała leżały wokół źródła, więc

ludność nazwała je Śmierdzącym.

Idziemy dalej żółtą ścieżką, aż dojdziemy do punktu widokowego na wzgórzu. Mamy spore szanse spotkać po drodze borsuki, łosie czy jelenie! Ze wzgórza wrócimy brązową ścieżką przez rezerwat do samochodu.

Z Krzczonowa-Sołtysów jedziemy do miejscowości Teklin. Mieszka tu artysta ludowy Jan Krzos, który tworzy dzieła o tematyce religijnej. Rzeźby Krzosa cieszą się dużym zainteresowaniem na kiermaszach sztuki ludowej. Obraz i krucyfiks jego autorstwa zdobią wnętrze miejscowego kościółka w pobliskim Koszarzewie. Krzos chętnie przyjmuje gości w swoim gospodarstwie. Warto zapowiedzieć się z wizytą, a wtedy twórca przygotowuje warsztaty rzeźbienia w drewnie.

Za miejscowością Boży Dar skręcamy na Piotrkówek. Trafiamy w ten sposób do stadniny koni i klubu jeździeckiego Arvena. Można tu wykupić jazdę i wy-



brać się w konny rajd po Krzczonowskim Parku Krajobrazowym.

Z Piotrkówka wracamy do Bożego Daru. W gospodarstwie agroturystycznym U Ireny czeka nie tylko sen, bo właścicielka Irena Kloc proponuje nam, abyśmy skorzystali z sauny i odprężających masaży.

Niedziela to dzień z lokalnymi kulinariami. Przejeżdżamy przez Krzczonów-Wójtostwo i docieramy do miejscowości Olszanka. Działka tu niezwykle prężnie Koło Gospodyń Wiejskich, których specjały można spotkać na festynach, dożynkach i imprezach promujących produkty tradycyjne Lubelszczyzny. Czego w Olszance skosztować? Żytniego chleba na zakwasie, pierogów polanych sosem koperkowym z dodatkiem smażonych skwarek, kapusty chłopskiej. Jedną z przekąsek nosi intrygującą nazwę „topielec”. To ciasto drożdżowe z farszem z sera i pokrojonego szczypioru. Trzeba tylko uważać, aby nie wyjechać z Olszanki zbyt syty. Czekaj przecież powrót do codzienności.





GRAND TOUR NA JESIEŃ



FOT. SWITZERLAND TOURISM/JANSEBERG

Jezioro Palpuogna w Gryzoni. W programie telewizyjnym SF1 uznane za najpiękniejsze miejsce w Szwajcarii.

Czy chcecie wybrać się w wielką podróż po Szwajcarii? Organizacja turystyczna Switzerland Tourism opracowała trasę, która z powodzeniem może konkurować z innymi słynnymi drogami, takimi jak amerykańska Route 66 czy australijska Great Ocean Road. „Grand Tour of Switzerland” biegnie przez 1643 km, przez niemal wszystkie kantony, cztery obszary językowe, pięć alpejskich przełęczy, jedenaście miejsc wpisanych na listę UNESCO, dwa obszary biosfery i wzdłuż 22 jezior.



FOT. STIST - STIP

Zug niedaleko Zurychu. Wizytówką starówki jest zabytkowa Wieża Zegarowa.

Grand Tour można przejechać samochodem lub motocyklem. Podróż ułatwia możliwość podzielenia trasy na dwanaście odcinków. Pokonanie całości zajmuje co najmniej osiem dni. Na liście atrakcji są niezwykle miasta, klejnoty kultury, alpejskie pejzaże i cuda natury.

Najniżej położonym punktem na trasie jest jezioro Maggiore (193 m n.p.m.), nad którym leży Locarno, pełne eleganckich domów z podcieniami i ulicznych kawiarni. Najwyżej położone miejsce to przełęcz Furka (2436 m n.p.m.), która zaprowadzi wprost w wysokie szwajcarskie Alpy. Przejazd tą niesamowitą drogą, wijącą się ostrymi serpentykami, wywoła nagły przypływ adrenaliny. Tędy pędził z piskiem opon James Bond grany przez Seana Connery’ego w filmie „Goldfinger”.



FOT. SWITZERLAND TOURISM/ESTER SCHLAFER

Val d’Anniviers, w samym sercu Alp, w regionie Wallis. Rozciągają się stąd przepiękne widoki.

Podróż przez monumentalne Alpy i rozległe doliny oszałamia widokami i potęgą natury. W Berneńskim Oberlandzie, samym centrum Alp, pejzaż tworzy trójka sławnych szczytów: Jungfrau, Mönch i Eiger. Jungfrau (Dziewica) niczym panna młoda okryta jest cały rok bielą wiecznego śniegu, zza niej wychylają się Mönch (Mnich) i Eiger (Olbrzym). Jesień to czas górskich wędrówek, więc chętni dotarcia bliżej widowiskowej północnej ściany Eigeru powinni dojechać kolejką Jungfrau do stacji Eigergletscher i wyruszyć na szlak Eiger.

Przejeżdżając przez Alpy Berneńskie, koniecznie trzeba zajrzeć do Berna, średniowiecznego miasta z fontannami, fasadami z piaskowca, uliczkami i historycznymi wieżami. Dawne mury bastionów stromo opadają ku rzece, a przez całą starówkę ciągną się arkady, tworzące długą promenadę. Berno to także miasto Einsteina. Tu narodziła się teoria względności, o czym przypomina miejscowe muzeum genialnego fizyka.



FOT. SWITZERLAND TOURISM/BRUNO SWISS-MAAG/CHINA/GETTY IMAGES

Winterthur w kantonie Zurych, centrum średniowiecznej części miasta.



Słynny, kryty dachówka, most w Lucernie. Jest to najstarszy drewniany most w Europie.

Warto odwiedzić też Lucernę, której symbolem jest najstarszy zadaszony drewniany most w Europie. Tuż obok swoją toporną sylwetką wyróżnia się wieża wodna, ośmiokątna budowla powstała jako część miejskich murów obronnych, służąca za skarbiec, areszt i miejsce tortur.

W miejscu, gdzie Jezioro Bodeńskie ponownie zamienia się w rzekę Ren, leży bardzo urokliwe miasteczko Stein am Rhein. Słynie ono z doskonale zachowanego centrum z pomalowanymi fasadami domów i domami szachulcowymi. Historycznych miast w Szwajcarii z zabytkami wpisanymi na listę UNESCO nie brakuje i podczas Grand Tou-ru powinniśmy pamiętać, aby uwzględnić je na trasie przejazdu.

Jesień to także najlepszy okres, aby w kantonie Appenzell Innerrhoden odnaleźć wioskę Appenzell, położoną pośród licznych pagórków. Region słynie z tradycyjnej muzyki i tańców oraz wiejskich zwyczajów, takich jak uroczyste spędzanie na zimę krów z alpejskich pastwisk.

Warto też zajrzeć do Bündner Herrschaft, regionu na terenie gmin Fläsch, Maienfeld, Jenins i Malans. Region jest nie tylko ojczyzną Heidi, bohaterki książek dla dzieci, ale i jednym z najcieplejszych terenów niemieckojęzycznej Szwajcarii. Na prawym brzegu Renu do granicy z Księstwem Liechtenstein właśnie zakończyły się zbiory winorośli, z których powstanie 50 różnych ga-

tunków win, wśród nich blauburgunder, z którego szczególnie dumni są miejscowe winiarki i winiarze.

Na trasie Grand Tour znajdują się aż dwadzieścia dwa jeziora. Największym z nich w Alpach (a zarazem w całej Europie Zachodniej) jest niezwykle malownicze Jezioro Genewskie. Leżą nad nim dwa główne miasta francuskojęzycznej Szwajcarii: Genewa i Lozanna. W Genewie poza katedrą

Świętego Piotra i 140-metrową fontanną Jet d'eau koniecznie trzeba zobaczyć zegar kwiatowy Horloge Fleuri i Muzeum firmy Patek Philippe, przypominające o tradycjach kunsztu zegarmistrzowskiego, zaś w Lozannie – słynny balet BÉjart i imponujące muzeum sztuki naiwnej l'Art Brut w pałacu Beaulieu.

Więcej o trasie Grand Tour: mojaszwajcaria.pl/grandtour

Widok na Spiez, w kantonie Berno. Pod miastem rozciągają się obszary uprawne winorośli.



Słońce nad Bornholmem

Svaneke to chyba najbardziej urokliwe miasto na duńskiej wyspie Bornholm na Morzu Bałtyckim. Jest najbardziej wysuniętą na wschód miejscowością Danii. Na stałe mieszka tu tylko 1100 mieszkańców. Nazywane jest słonecznym miastem z powodu największej w kraju liczby słonecznych dni w ciągu roku. Wystarczy przejść się po uliczkach, aby to zrozumieć. W 1975 roku miasto otrzymało Europejski Złoty Medal za zachowanie stylu architektonicznego. Svaneke jest również centrum sztuki i rzemiosła. Pełne jest sklepików z wyrobami ze szkła i ceramiką.

Nieodłącznym elementem miast na Bornholmie są charakterystyczne kominy wędzarni. Miłośnicy owoców morza i ryb będą zachwyceni. A i dobre piwo do tego się znajduje, bo w Svaneke mieści się jedyny browar na wyspie,



55°08'N 15°08'E

Na Bornholm można dojechać promem z Kołobrzegu i Świnoujścia.

FOT. SHUTTERSTOCK

Bryghuset. Z miasta rozchodzi się cała sieć ścieżek rowerowych, które prowadzą w inne niezwykle zakątki wyspy, np. do parku rozrywki Joboland, który leży na zachód od miasta.

Belgia Gandawa



KWIATY I KOGUTY

Zabytków w mieście jest co niemiara. Nie można pominąć katedry św. Bawona (XIII–XVI w.), jej wnętrza zdobią cenne dzieła sztuki, m.in. – uznawany za najwybitniejsze dzieło gotyckiego malarstwa flamandzkiego – Ołtarz Baranka Mistycznego autorstwa Huberta i Jana van Eyck. Warto wybrać się również do Citadel Park z unikatowymi formacjami skalnymi otaczającymi budynki Muzeum Sztuki Nowoczesnej (S.M.A.K.). Latem w parku spacerują belgijskie koguty. W Gandawie co pięć lat odbywa się festiwal kwiatów (Floralies Gantoises). Zaczęło się od skromnego pokazu roślin ponad 200 lat temu, a dzisiaj na wystawę przyjeżdża ponad 300 tysięcy zwiedzających. Gandawa słynie również z ciekawej kuchni. Popisowymi daniami są *waterzooi* – gęsta zupa z ryb lub kurczaka i gulasz piwny *stoverij*. Piwosze też znajdą coś dla siebie.

51°03'N 03°43'E

Gandawa leży 56 km na północny zachód od Brukseli.

FOT. SHUTTERSTOCK

Gandawa to miasto w północno-zachodniej Belgii, w regionie Flandrii. Ma niezwykle ciekawą historię i wiele zabytków. Przez setki lat przechodziła z rąk do rąk, ale zachowała tożsamość i wciąż się rozwijała. Jest jednym z najczęściej odwiedzanych przez turystów miast Belgii. Jest też (pod względem liczby studentów) najważniejszym ośrodkiem uniwersyteckim w kraju. Gandawa była pierwszym miastem w Europie, gdzie dotarła rewolucja przemysłowa. Dobrze wspominał ją też Erazm z Rotterdamu.

poznaj wprost

NAJCZĘŚCIEJ CYTOWANY TYGODNIK DEKADY

100 000 czytelników co tydzień | **176 000** fanów na Facebooku
413 000 śledzących na Twitterze | **1 600 000** użytkowników w internecie



TYGODNIK PRZEDSIĘBIORCZYCH POLAKÓW.
TWÓRCA I PATRON PRESTIŻOWYCH RANKINGÓW:

CZŁOWIEK
ROKU

orty
wprost

Innowatory
wprost

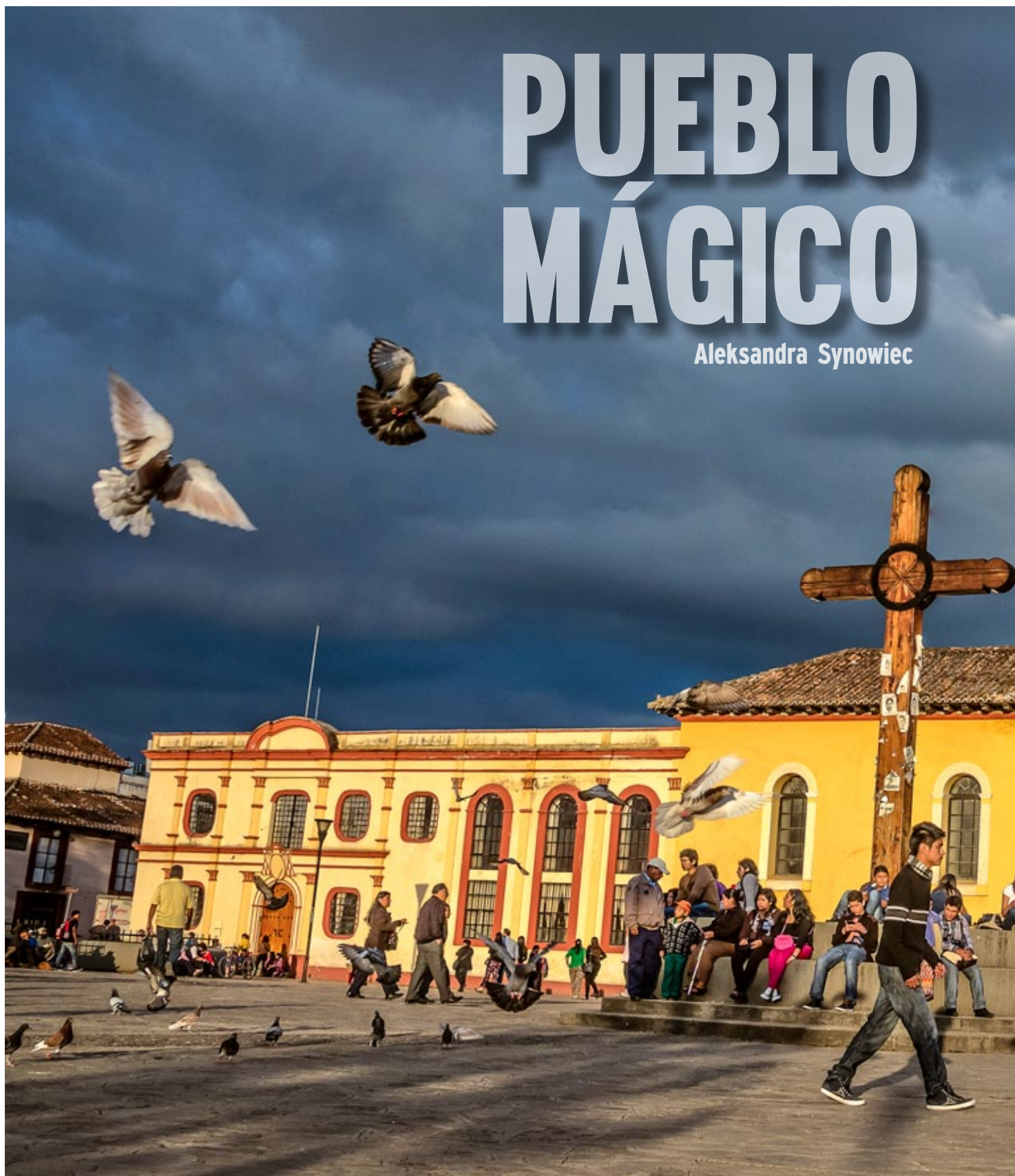
200
NAJWIĘKSZYCH
POLSKICH FIRM
wprost

portfel wprost

LISTA
100
NAJBOGATSZYCH
POLAKÓW

PUEBLO MÁGICO

Aleksandra Synowiec



„Przyjeżdżasz na dwa dni – zostajesz na tydzień.
Przyjeżdżasz na tydzień – zostajesz całe życie. San Cristóbal
jest jak magnes, jak trójkąt bermudzki, jak czarna dziura” –
ostrzegła mnie przed pierwszą wizytą Monika, Polka,
która mieszka tam od sześciu lat. To miejsce czaruje
od pierwszego wejrzenia.





FOT. ALEKSANDRA SYNOWIEC

PRAWDZIWYCH CYGANÓW JUŻ NIE MA?

San Cristóbal to przystań muzyków z całego świata. Węgierska grupa Szkojani Charlatans gra muzykę cygańską i koncertowała tu ubiegłej wiosny.

W 2010 roku San Cristóbal de las Casas zostało ogłoszone „najbardziej magicznym miasteczkiem Meksyku” spośród 83 *pueblos mágicos*... Tak obfita lista „magiczności” miała pokazać piękno całego kraju, a w nim nie tylko słońce i plażę. Leżące na południu Meksyku, w sercu stanu Chiapas, San Cristóbal de las Casas już na pierwszy rzut oka zachwyca kolorami, niską, najwyżej dwupiętrową zabudową oraz górskim położeniem. To jednak nie wszystko, za co kocham to miejsce, do którego od czterech lat uciekam na jesień i zimę.

W STANIE JEDENASTU PLEMION

Św. Krzysztof z nazwy miasteczka jest patronem kierowców i podróżników. Tych ostatnich w San Cristóbal nie brakuje. – *Docierają tutaj osoby, które są naprawdę ciekawe Meksyku* – mówi mi Jorge, właściciel jednego z hosteli w miasteczku. – *San Cristóbal nie kusi plażami ani turkusowym morzem, lecz przyciąga przede wszystkim kulturą: tą, którą można znaleźć na naszych uliczkach, ale także na przedmieściach oraz w okolicznych indiańskich wioskach.*

Mój znajomy Mauricio poszedł pewnego dnia do fryzjera. Fryzjer stacjonuje w małej budce na targu, między stoiskiem z leczniczymi ziołami i magicznymi świecami a starszymi Indiankami sprzedającymi żywe kurczaki oraz indyki. Mauricio wrócił ogolony „na zero”. – *Co się stało?* – zaśmiała się. – *Nie dogadałem się z fryzjerem* – odparł. Wprawdzie zarówno Mauricio, jak i fryzjer są Meksykanami, tyle że fryzjer po hiszpańsku praktycznie nie mówił. Rozumiał *tsotsil*, jeden z popularniejszych języków majańskich. Bo rdzennymi językami mówi przecież aż jedna trzecia mieszkańców San Cristóbal de las Casas.

Chiapas jest jednym z meksykańskich stanów o największym procencie ludności



rdzennej. Z 33 plemion Majów żyjących na terenie Meksyku, Gwatemali, Belize i Hondurasu, w stanie Chiapas, w którym leży San Cristóbal, żyje ich 11. Część do połowy XX wieku przetrwała niemalże bez kontaktu ze światem. Słowa „las Casas” z nazwy miejscowości są

PAMIĄTKI OD ZAPATYSTÓW

Życie współczesnych Majów najlepiej jednak obserwować w praktyce. W tym celu podróżnicy udają się zazwyczaj do San Juan Chamula albo do Zinacantán – indiańskich wiosek położonych nieopodal San Cristóbal.

W pamięć zapada niezwykle kościół w Chamuli, w którym nie odbywają się już katolickie msze, Indianie zaś odprawiają tam swoje własne rytuały z wykorzystaniem coca-coli, jajek oraz kurczaków. Podczas wizyty w Chamuli nie można zapomnieć o zakupie *poxu*. To tradycyjny alkoholowy trunk wyrobiany z kukurydzy i trzciny cukrowej. Dostaniemy go w różnych smakach (uwielbiam *yerba buena!*). Można dostrzec go także podczas „kościelnych” rytuałów w Chamuli.

FOLKLOREM HAFTOWANE

Na targu rękodzieła przy kościele Santo Domingo obowiązuje podstawowa zasada: ma być wzorzyście i kolorowo.



upamiętnieniem hiszpańskiego duchownego nazwiskiem Bartolomé de las Casas, który został zapamiętany jako obrońca Indian.

W gęstym lesie równinowym żyli na przykład Lakandoni, których fotografowała Trudi Blom – szwajcarska dziennikarka i antropolog. Wraz z mężem Fransem poświęcili swoje życie pomocy Indianom oraz badaniom nad ich kulturą. W ich domu Casa Na Bolom – położonym w dawnym klasztorze – przy jednym stole zasiadali meksykańscy politycy, uznani artyści oraz... Indianie. Mimo że Frans i Trudi już nie żyją, to punktualnie o 19.00 te kolacje odbywają się do dziś. Za dnia można zwiedzić znajdujące się tam muzeum i dowiedzieć się więcej o majańskiej kulturze.

Chamula i Zinacantán są też świetnymi miejscami, gdzie można kupić rękodzieła. Nigdzie indziej w Meksyku nie znajdziemy tylu pięknych haftowanych bluzek, kamizelek, poncz czy kurteczek. No może jedynie na bazarze przy pięknym kościele Santo Domingo w San Cristóbal. – *Gdy ktoś mnie pyta, jaka jest największa atrakcja turystyczna tego miasta, to odpowiadam, że targ i bazar rękodzieła* – podkreśla Jorge i dodaje, że takiego targowiska nie widział w całym Meksyku. Feeria owocowych i warzywnych kolorów, zapach kwiatów, świece ze Świętą Śmiercią i Maryjką z Gwadelupy, tanie papierosy Maria & Juana za 10 pesos z listkiem marihuany na pudełku, DVD z najnowszym „Spidermanem”, a gdzieś pośrodku tego wszystkiego – knajpki z najlepszymi

w całym mieście tacosami, kurczakiem w czekoladowym sosie *mole* oraz smażoną rybą.

– *Będziesz mieszkać w San Cristóbal? Nie bierz ze sobą żadnych ciuchów. Jak na ciebie patrzę, to od stóp do głów odnajdziesz się na tamtejszym targu z rękodziełem* – powiedział mi przed moim pierwszym przyjazdem do Meksyku znajomy Elvis. Z tym „od stóp do głów” to trochę przesadził – ale rzeczywiście *mercado de artesanía* jest zarówno ucztą dla oczu, jak i dla portfela (tanio!).

Część podróżników poszukuje tutaj suvenirów w sklepikach z pamiątkami produkowanymi przez indiańskie spółdzielnie albo przez zapatystów. Buntujący się przeciw niesprawiedliwości społecznej zapatysty, którzy zbrojnie powstałi w 1994 roku, obecnie skupiają się na pokojowej działalności, budując swoje

autonomiczne wioski, zwane *caracol*. Sukces medialny, jaki osiągnęło powstanie zapatystów na świecie, przyciąga w te strony: lewicowych działaczy, obrońców praw człowieka, pracowników socjalnych oraz lekarzy bez granic. Są oni częścią lokalnego kolorytu.

KULTURALNE MIEJSCE W CHMURACH

W ten barwny krajobraz wpisują się też ekspaci, hipisi oraz przeróżnej maści artyści. – *Mamy tu życie kulturalne dużej metropolii w małym miasteczku* – mówi Jorge. – Sam pochodzi z miasta Meksyk i dodaje, że jeśli chodzi o ofertę kulturalną, to nigdy się tu nie nudził. – *Co 50 metrów jest koncert z muzyką na żywo, i to jeszcze za darmo! Praktycznie*

W SAMO POŁUDNIE

Restauracyjki przy Real de Guadalupe to najlepsze miejsce na kawę lub wino. Pod warunkiem, że oferują cień. Zwróćcie uwagę, jak niewiele jest go na ulicy.



FOT. ALEKSANDRA SYNOWIEC

MAJAŃSKIE SMAKI

Od lewej: *pan compuesto* (bułeczki z posiekaną wieprzowiną), *chiles rellenos* (papryka nadziewana mięsem i warzywami) oraz *sopa del pan* (zupa z chleba).



FOT. ALEKSANDRA SYNOWIEC



FOT. ALEKSANDRA SYNOWIEC



FOT. ALEKSANDRA SYNOWIEC



na żadne z wydarzeń w San Cristóbal nie ma płatnego wstępu.

Oprócz wtorkowych wieczorów z salsa w turystycznym barze Revolución czy sobotnich koncertów *son jarocho* w rodzinnej Entropii znajdziemy tu także muzykę spoza Meksyku. To właśnie tu dowiedziałam się, czym są takie gatunki muzyczne, jak: manouche, surf rock czy blue grass. Do wydarzeń muzycznych dochodzą przedstawienia cyrkowe w Wapani, projekcje zaangażowanych filmów w Paliacate oraz liczne festiwale.

Chociaż San Cristóbal nie jest stolicą Chiapas od 1892 roku, to wciąż uważane jest za stolicę kulturalną stanu, a mieszkańcy stołecznej Tuxtli Gutiérrez przyjeżdżają tu na imprezy. Czasami jednego dnia mam wpisane w kalendarz nawet pięć interesujących wydarzeń. W Warszawie musiałabym zdecydować się na jedno albo dwa i szybko wybiegać z jednego koncertu, aby dojechać na drugi. W San Cristóbal nie ma takich problemów, bo liczy ono tylko 180 tysięcy mieszkańców i panuje w nim klimat małego miasteczka. Praktycznie wszędzie dochodzi się pieszo, centrum to małe przytulne uliczki, a główne ulice zamieniono w deptaki.

San Cristóbal de las Casas ma jeszcze inną nazwę. W języku *tsotsil* nazywa się Jovel, co

oznacza „miejsce w chmurach”. Miejscowość położona jest wśród gór, w dolinie, na wysokości ok. 2 200 m n.p.m. W ciągu dnia jest tu o kilka (w nocy o kilkanaście) stopni chłodniej niż w położonym o 45 minut jazdy Chiapa de Corzo. Daje to chwilę wytchnienia od meksykańskich upałów. Do tego dochodzi przyjazna atmosfera oraz niskie – nawet jak na Meksyk – ceny.

Miasteczko przyciąga ekspatów z całego świata, którzy uczynili z San Cristóbal mieszankę w stylu multi-kulti. Jednego dnia idę tu na *fish tacos* do wujka Boniego, drugiego na pyszne *quesadille* do Lupity, a trzeciego na japońskie sushi lub izraelskiego *falafela*. Nie mogę też przejść obojętnie obok obłądnego zapachu unoszącego się wokół francuskiej piekarni. A wiem, że jak wejść, to już nie wyjdę, bo dobrze mi się rozmawia z pracującym tam Nico – Francuzem, dla którego San Cristóbal jest także drugim domem.

Przez magię San Cristóbal przedzierają się także i smutne obrazy: bieda, fatalne warunki życia oraz handlujące na ulicy indiańskie dzieciaki. To trochę tak, jak śpiewa w jednej ze swojej piosenek artysta z San Cristóbal, Manik B.: – *México mágico, México trágico...* Tutaj życie, jego piękno i smutki, odczuwa się mocno, i we wszystkich odcieniach. ○

VIVA SAN CRISTÓBAL

Aby zobaczyć taki widok, najlepiej wspiąć się do jednego z kościołów – Guadalupe lub Del Cerrito – położonych na wzgórzach w centrum. Kolorowe chorągiewki powieszono z okazji fiesty ku czci św. Krzysztofa Męczennika, patrona miasteczka.



Aleksandra Synowiec

Latynoamerykanistka, dziennikarka, autorka bloga Mexico Magico. W Meksyku spędzała większość czasu przez ostatnie pięć lat, aż w końcu zamieszkała tam na stałe.



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

POCIĄG DO POWOLNOŚCI

Kiedy ktoś mi życzy
szybkiej podróży,
grzecznie dziękuję
– w znaczeniu
odmownym

Uwielbiam poczekalnie. Choć dziś, w czasach pośpiechu i rywalizacji przewoźników o jak najkrótszy czas podróży, okazja do przesiadki zdarza się coraz rzadziej, staram się przynajmniej zjawiać na dworcu lub lotnisku z wyprzedzeniem. Niestraszne mi wczesne pobudki i napięty plan dnia wyjazdu. A wszystko po to, by zaznać przyjemności czekania. Czekania na początek podróży.

Mam z tym związane własne rytuały. Najpierw zajmuję odpowiednie miejsce. Może być przy oknie lub kawiarnianym stoliku, odrobinę na uboczu, ale z dobrym

widokiem. Obowiązkowo zamawiam kawę, która smakuje najlepiej w mglisty poranek lub deszczowe popołudnie. Z braku laku wystarczy nawet podróbka z automatu. Chodzi o możliwość ogrzania dłoni gorącym kubkiem i przyglądania się innym podróżnym. Do pełni szczęścia brakuje już tylko gazety. I bynajmniej nie chodzi o jej zawartość. To rekwizyt umożliwiający dyskretną obserwację otoczenia znad rozłożonych stron. Pozwala też poczuć się pasażerem w stylu retro.

Gdybym mogła, brałabym do kompletu skórzaną walizkę z kolorowymi naklejkami. Bo prawda jest taka, że nie nadążam za tempem dzisiejszego świata, w tym współczesnych środków transportu. Weźmy taki samolot. Z pozoru dobrodziejstwo, przecież lot z jednego końca Europy na drugi trwa parę godzin. Innymi słowy, ledwie człowiek wsiądzie, już musi wysiadać. W pośpiechu można się udławić nieprzyzwoicie drogą przekąską, bo chwilę po tym, gdy się ją zamówi, trzeba składać stolik przed lądowaniem. W kabinie instrukcji bezpieczeństwa, loterii ze zdrapkami i reklam sprzedawanych na pokładzie produktów nasz umysł nie

ma szansy zarejestrować, że udajemy się w podróż. Wsiadamy może i mało zmęczeni, ale wciąż jedną nogą w codziennym pędzie. Nie czujemy doniosłości momentu wkraczania na nowy ląd. Miejsca mieszają się ze sobą i zlewają w jedną globalną wioskę. Nie to co kiedyś!

Dziś nikt już nie pamięta, że dawniej przemieszczanie się trwało o wiele dłużej. Nie wyobrażamy sobie, jak można było spędzić w powozie, pociągu lub na statku dni, tygodnie lub miesiące. A przecież dzięki temu człowiek miał szansę poczuć, że jest w drodze. Jej trud zdecydowanie podnosił jej rangę, a długo wyczekiwany cel budził większy respekt i ekscytację. Przeciągająca się podróż była jak stan zawieszania pomiędzy starym a nowym, znanym a nieznanym. Dzięki niej można było uważnie chłonąć wszystkie wrażenia, a wracając, spokojnie je przemyślać. Z takich wojaży wracało się trwale odmienionym, ze wspomnieniami na całe życie.

Ja też wolę powoli. Miarowy szmer silnika lub stukot kół po szynach działa na mnie hipnotyzująco. Z nosem przyklejonym do okna zapadam się w sobie, na próby zagajenia ze strony innych pa-



ISPO ACADEMY

sażerów odpowiadają mało taktownym mruknięciem. Z łezką w oku wspominam czasy pierwszych autokarowych wycieczek po Europie. Do Paryża jechało się kilkanaście godzin, do Londynu dobę, a do Lizbony – z przerwami technicznymi – trzy. To dość czasu na kontemplację przesuających się za szybą widoków. A kiedy wreszcie stawiało się stopę na obcej ziemi, było się gotowym i wygłodniałym wrażeń. Może dlatego Zachód wydawał się bardziej odległy niż dzisiaj. I nieporównanie bardziej ekscytujący!

Na Wschód – podobnie. Pociąg niespieszny z Warszawy nad Bajkał jedzie tydzień w jedną stronę. Wspinała przygoda! Nie ze względu na krajobrazy (płaskie jak stół równiny upstrzone kępami brzoź), ale na wymarzone warunki do podróżnego skupienia i stopniowego nasiąkania syberyjskim kolorytem, w miarę dosiadania się kolejnych pasażerów uzbrojonych w jarzębiak i bałałajkę.

Z podobnego założenia wyszli Marta Owczarek i Bartek Skowroński, autorzy książki „Pod stopami słońca. Motocyklami po bezdrożach Azji”, którzy trasę z Polski do Pamiru pokonali jednoślądami. Dlaczego nie samolotem? Bo taka wyprawa byłaby ich zdaniem wyrwana z kontekstu. „Chcemy spokojnie rejestrować i smakować wszystkie zachodzące podczas podróży zmiany, zrozumieć je i powiązać w całość. Mamy nadzieję, że dzięki temu rzeczywistość, jaką zastaniemy u celu, nie wywoła ogłupiającego zachwyty egotykiem, lecz ujrzymy ją jako mniej lub bardziej logiczną konsekwencję tego, w co stopniowo będziemy się zanurzać z każdym przejechanym na wschód kilometrem” – piszą. Ich poglądy i sporą część trasy podzielił Przemysław Osuchowski, który swoje odkrycia opisał w książce „Wenecja – Pekin. Być jak Marco Polo.” Podążając tropem słynnego podróżnika, zorganizował samochodowy rajd do Pekinu. Podczas 58-dniowej wyprawy obowiązywał surowy kodeks, a w nim zasady: „Rajd Wenecja – Pekin nie jest wyścigiem” i „Za wcześniejsze dojechanie do mety nie są przyznawane dodatkowe punkty”.

Nie trzeba jednak szukać tak daleko. Piętnaście lat temu chodziłam na piesze rajdy i pielgrzymki i do dziś czuję wagę, jaką miał każdy postawiony krok. Bąbły na stopach, zmęczenie i deszcz na zmianę z parującym w upale asfaltem sprawiały, że tempo trzydzieści kilometrów

na dzień wydawało się szaleńcze. A mijane po drodze senne miasteczka i atrakcje klasy regionalnej – fascynujące, choć z perspektywy auta nie dostrzegłabym w nich niczego ciekawego. A propos samochodu: z entuzjazmem witam miejskie korki. Ściszałem wtedy radio, opuszczam szyby i wsłuchuję się w dźwięki miasta. Wykorzystuję nieplanowaną przerwę na rozejrzenie się wokół. To rzadka okazja, żeby wyjść z codziennych kolein i odnotować aktualną porę roku, niedostrzegalną z wnętrza klimatyzowanego biura.

Powolność w podróży miewa też wydanie deluxe. Na przykład: statki wycieczkowe. Trudno sobie wymarzyć lepsze miejsce do celebracji bycia w drodze.

Baseny, drink-bary, kasyna, restauracje z obsługą w białych rękawiczkach i muzyka na żywo – przemieszczając się w takich warunkach, niekoniecznie w ogóle chcemy dotrzeć na miejsce. Sącząc szampana w skąpanym w zachodzącym słońcu pokładowym jacuzzi, możemy zadać sobie tylko jedno pytanie: po komu teleportacja? ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”.

Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl

5. edycja ISPO ACADEMY w Polsce

12-13. października 2016

Beskidzki Raj, Zawoja



KONFERENCJA SZKOLENIOWA DLA BRANŻY SPORTOWEJ I OUTDOROWEJ
2 DNI WYKŁADÓW, PONAD 200 UCZESTNIKÓW
PRELEGENCI Z POLSKI I ZAGRANICY

JESTEŚ Z BRANŻY? MUSISZ TU BYĆ!

ORGANIZATOR:



PARTNER STRATEGICZNY I WSPIERAJĄCY:



PARTNERZY:



PARTNERZY MEDIALNI:



PROGRAM I ZGŁOSZENIA WWW.ISPOACADEMY.PL

R E K L A M A

NA AMBONIE

Ta podziemna komnata w jednej z czarnogórskich jaskiń jest nazywana katedrą. Drobna sylwetka fotografa pozwala sądzić, że naprawdę zmieściłaby się tu spora świątynia.

FOT. MICHAŁ KAMIŃSKI



FOTOJASKINIOWCY

Paweł Ruda

Aparat fotograficzny jest nieodzownym rekwizytem podczas wszelkich wypraw – od poważnych ekspedycji o charakterze naukowym po zwykłe niedzielne wypadki. Ale bywają sytuacje, gdy robienie zdjęć wymaga znacznego poświęcenia, a sesja fotograficzna staje się wręcz niebezpieczna.

Jaskinia Đalovića, najdłuższa znana jaskinia Czarnogóry, ma znaczny potencjał eksploracyjny i imponującą szatę naciekową. W ciągu minionych lat czescy grotolazi poczynili znaczne postępy w eksploracji tego interesującego miejsca. W 2014 roku do wypraw dołączyli także Polacy z Klubu Speleologicznego Politechniki Wrocławskiej. Rok później, przed kolejną wizytą zdecydowano powołać grupę fotograficzną, która całkowicie poświęci się wykonaniu zdjęć tej pięknej jaskini.

W ramach ubiegłorocznej czesko-polskiej ekspedycji udało się odkryć nowe partie znajdujące się za całkowicie zalanymi odcinkami. Gdy czescy nurkowie eksplorowali nowo odkryte korytarze, a pozostali grotolazi sporządzali dokładne plany głównego ciągu jaskini i podjęli próbę odpompowania wody z pierwszego syfonu, grupa fotograficzna zajęła się wykonaniem zdjęć, które pozwolą odkryć dla wszystkich to niesamowite miejsce.

przygotowane dla ruchu turystycznego wiąże się z narażeniem grotolaza na utratę sprzętu lub zdrowia. Đalovića jest jaskinią, do której nie dotarł jeszcze ruch turystyczny. Nie ma tu ani jednego metra udostępnionej trasy, nie znajdziemy też sztucznego oświetlenia ani przewodnika. Nasza grupa fotograficzna składała się z czterech osób. To konieczne minimum, aby móc myśleć o wykonaniu zdjęć na odpowiednim poziomie. Połowa zespołu zajęła się fotografowaniem i filmowaniem, pozostałe dwie osoby pomagały w transporcie sprzętu, rozstawianiu światła oraz pozowały do zdjęć.

Đalovića jest rozległą jaskinią. Długość poznanych w niej korytarzy przekracza 11 km (najdłuższa jaskinia Jury Krakowsko-Częstochowskiej, Wierna, to tylko 1027 m). To trudny teren. Dotarcie od wejścia do syfonu końcowego zajmuje wiele godzin wyczerpującego marszu przypominającego pokonywanie toru przeszkód. W jaskini panuje stała temperatura 9°C. Nie jest to wartość bardzo niska, jednak znaczna wilgotność sprawia, że zimno staje się dokuczliwe. Zwłaszcza gdy wykonuje się zdjęcia lub ujęcia filmowe i kiedy trzeba zatrzymać się na dłuższy czas w przepoconych ubraniach.

W PODZIEMNEJ SIECI

Jaskinie często sprawiają spore trudności orientacyjne. Korytarze łączą się ze sobą, często po kilka w jednej sali i tworzą skomplikowaną sieć.

BŁOTO, PIACH I WODA

Jaskinie są specyficznym środowiskiem pracy fotografa. Wyjście poza podziemne trasy



FOT. PAWEŁ RUDA

Jaskinia to także wyzwanie dla sprzętu fotograficznego, który stale jest narażony na zniszczenie. Głównym wrogiem fotografa jest wszechobecne błoto oraz piach wciskający się we wszelkie zakamarki aparatów, obiektywów, stabilizatorów. Kombinacja ciągłej walki z brudem, dokuczliwego zimna w momencie zatrzymania się w celu wykonania fotografii oraz niebezpiecznego terenu, w którym łatwo o wypadek... Tak wygląda rzeczywistość podziemnej sesji. Do tego dochodzą skromne racje żywnościowe i zmęczenie wielogodzinnym działaniem. Nie zwalnia to oczywiście z myślenia o odpowiedniej kompozycji, dobierania prawidłowych parametrów ekspozycji i sterowania oświetleniem tak, aby w możliwie najlepszy sposób oddać trójwymiarową przestrzeń podziemnego świata.

PO PRĄD NA POWIERZCHNIĘ

Chcieliśmy jak najlepiej wykorzystać czas w jaskini, więc założyliśmy biwak zaopatrzony w ciepłe śpiwory, kuchenkę i zapas jedzenia. Aby zminimalizować ryzyko związane z obrywem skalnym, na miejsce schronienia wybiera się salę, której ściany i strop sprawiają wrażenie litych i mocnych. W podziemnym obozie spędzaliśmy niewiele czasu. Po całodziennym fotografowaniu przyrządzaliśmy skromną kolację i czym prędzej kładliśmy się spać.

Sen pod ziemią to ciekawe przeżycie. Zawsąd dochodzą dźwięki spadających kropli, a nieprzeniknione ciemności tworzą niepowtarzalny klimat. Pobudki nie należą do przyjemnych, bo perspektywa opuszcze-

nia ciepłego śpiwora na rzecz zimnego, zawilgoconego kombinezonu jaskiniowego nie zachęca. Humor nieco poprawiają ciepłe śniadanie i kawa. Wodę do picia w jaskini można czerpać z licznych jeziorzek. Czas, jaki spędza się pod ziemią, jest ograniczony jedynie przez żywotność akumulatorów zasilających sprzęt

NAD JEZIOREM

Pokonywanie progów wymaga umiejętności posługiwania się liną.



FOT. MICHAŁ KAWIŃSKI

fotograficzny. Co 48 godzin musieliśmy udać się na powierzchnię, gdzie w bazie mieliśmy dostęp do elektryczności.

OFIARA Z ZĘBA

Podczas fotografowania największej sali, w której znajduje się imponujących rozmiarów szesnastometrowy stalagmit, doszło do ciekawej wymiany zdań pomiędzy mną a Michałem Kamińskim, kierownikiem naszej grupy. Staraliśmy się interesująco oświetlić fotografowane miejsce, więc używaliśmy trzech bezprzewodowych lamp błyskowych. Jedna z nich znajdowała się u podstawy stalagmitu, niestety, jak to zwykle bywa, pierwsze usta-

wienie światła nie spełniło oczekiwań. Trzeba było przestawić lampy nieco wyżej na stożkowej podstawie nacieku. Pośpiech, zmęczenie, a może po prostu śliska skała... W jednej chwili z jaskini przeniosłem się do dziwnego, równie ciemnego świata wypełnionego jednostajnym piskiem. Przytomność przywróciło mi wołanie Michała:

– *Żyjesz?! –* krzyknął.

Usłyszałem i zrozumiałem, ale nic nie czułem ani nie potrafiłem się ruszyć.

– *Żyjesz...?! –* ponowił pytanie.

– *...Poczekaj –* udało mi się odpowiedzieć.

Nie była to odpowiedź, jakiej spodziewała się reszta grupy. *Życ żyje*, ale jeśli złamałem nogę lub skręciłem kostkę, będziemy mieli poważ-



FOT. MICHAŁ KAMIŃSKI



FOT. PAWEŁ RUDA

ny problem. Całe zajście trwało kilkadziesiąt sekund. Poczułem się nieco zdziwiony i zagubiony. Chwilę później, po odzyskaniu kontaktu z własnym ciałem i wypluciu, z niemałym żalem, fragmentu zęba trzonowego, upewniłem się, że nie odniosłem żadnych poważniejszych obrażeń. Teraz już ostrożnie, w pełnym skupieniu przestawiłem lampę w bardziej odpowiednie miejsce. Niestety nie zapamiętałem momentu upadku – chyba musiałem utracić kontrolę i polecieć kilka metrów po stromej pochylni. Upadając, uderzyłem zuchwą w jeden z wielu skalnych występów, przez co na chwilę straciłem świadomość. W ten sposób powstało jedno z najciekawszych zdjęć, jakie zrobiliśmy w Łalovičky.

Z wyprawy wróciliśmy z poczuciem dobrze spełnionego zadania. Mieliśmy okazję zobaczyć na własne oczy miejsce niesamowite, a wysiłek włożony w sesję zaowocował kilkudziesięcioma zdjęciami, które oddają w ciekawy sposób wygląd wnętrza Łalovičky. Działania naszej grupy fotograficznej były jedynie elementem większej całości. Równoległe do nas swoje cele realizowali pozostali uczestnicy wyprawy. Wszyscy braliśmy udział w transporcie sprzętu nurkowego do pierwszego syfonu oraz przy powrocie na powierzchnię. Praca fotografa podczas ekspedycji jaskiniowej nie jest ani łatwa, ani bezpieczna, jednak radość z udanych zdjęć rozwiewa wątpliwości, czy było warto. ○



Paweł Ruda

Podczas podróży fotografuje potęgę natury. Uwielbia miejsca pozbawione zgiełku, lodu i skały. Do fotografowania podchodzi bezkompromisowo i stara się rozwijać swój warsztat w myśl dewizy „da się lepiej”.



BIWAK BEZ GWIAZD

Noc spędzona pod namiotem w zimnej jaskini na pewno nie jest najbardziej ulubioną formą biwaku. Jednak wyjście na powierzchnię zabierałoby zbyt wiele czasu.

JAK WYBRAĆ LATARKE

Bartłomiej Bijok

Panuje stereotyp, że latarka wyprodukowana w Chinach będzie odbiegać od produktów topowych marek. Jednak pojawiły się marki, które tam powstały, a ich poziom dorównuje najlepszym. Świetnym przykładem jest Fenix.



Czołówki, latarki ręczne, kempingowe, do tego różne rodzaje zasilania, moc świecenia, zasięg. Popularna marka, a może coś z tańszych wynalazków? Aby wybrać latarkę, przedzieramy się przez gąszcz ofert, w których producenci i sklepy kuszą niską ceną, jakością i oślepiającą mocą świecenia.

Latarki z najniższej półki cenowej okazują się często buble, który działa przez jeden wypad pod namiot. Mamy także obawy przed zakupem stereotypowej „chińszczyzny”. Nie wiemy, że w Chinach dziś już są produkowane latarki najwyższej klasy, które śmiało konkurują z czołowymi europejskimi markami. Wiele osób zadaje sobie pytanie, czy warto wydać na markowy przedmiot kilkaset złotych. Artykuł ten ma pomóc w przejściu przez mnogość marek, cen, lumenów, diod i trybów pracy. Nie powiemy, który model będzie najlepszy dla konkretnej osoby. Jednak pokażemy, na co zwrócić uwagę, czego się wystrzegać i czego najlepiej szukać.

Moc świecenia i zasięg

Te dwa parametry w najprostszy sposób oddają to, co latarka potrafi. Ich zrozumienie stanowi pierwszy krok do dobrego wyboru. Moc świecenia wyrażona w lumenach opisuje, jak jasny jest strumień światła. Zasięg latarki zależy od budowy lustera odbłyśnika w obiektywie. Im bardziej jest ono wklęsłe, tym dalej latarka świeci. Choć moc świecenia ma wpływ na zasięg, nic nie stoi na przeszkodzie, aby reflektor z mniejszą liczbą lumenów świecił znacznie dalej niż ten o wyższych parametrach, ten zaś z większą – aby oświetlił nasze najbliższe otoczenie wyraźnie szerszym kątem. Pod uwagę należy brać oba te parametry i wybrać taką latarkę, która ma strumień światła najlepiej dopasowany do czekających na nią zadań.

Jaka latarka do jakich celów?

Najpierw trzeba określić, w jakich warunkach latarka będzie pracować. Ciężka latarka patrolowa o mocy 3000 lumenów w rękach osoby, która wyrusza w podróż dookoła świata, to zbędny bagaż. Z drugiej strony kompaktowa czołówka o małej mocy może okazać się za słaba. Warto zastanowić się, gdzie i jak często

latarka będzie używana oraz na co będzie narażona. To zawęzi nasze poszukiwania do odpowiedniego modelu. A tych jest sporo.

Latarki czołowe są przydatne tam, gdzie potrzebujemy wolnych rąk: przy rozbijaniu namiotu, wspinaczce, eksploracji jaskiń, w warsztacie samochodowym. Lekka czołówka doskonale sprawdzi się podczas letniego wypadu pod namiot. Latarkę czołową z utwardzanego aluminium i wytrzymałym źródłem zasilania wybierze osoba, która wyrusza na zdobywanie szczytów wysokich gór.

Kompaktowe latarki ręczne stanowią najbardziej uniwersalną grupę. Wykorzystuje się je w turystyce, na weekendowe wypadki za miasto lub jako sprzęt noszony każdego dnia przy sobie. Główną zasadą doboru takiego urządzenia jest waga i rozmiar. Nikt nie lubi dźwigać zbędnych kilogramów w plecaku, torbie czy kieszeni. Na szczęście jest dostępna duża gama latarek kompaktowych o znacznej mocy świecenia, nawet do 1000 lumenów. Doskonałym tego przykładem jest Fenix UC30.



Lampy kempingowe i turystyczne są dość specyficzną grupą latarek. Często przyjmują formę lampionów lub latarni. Służą do oświetlenia najbliższego otoczenia, namiotu, a nawet całego obozu. Aby ułatwić ich ustawienie, mają magnesy, haczyki, czasem gwint pod statyw fotograficzny. Ostatnimi czasy pojawiły się także modele, które pełnią funkcję powerbanku.

Turystyka rowerowa zyskuje sobie wielu zwolenników. Dla poszukujących solidnej latarki na wyprawę rowerową producenci prześcigają się w pomysłach. Na rynku do wyboru są zarówno mocowania, które pozwolą zastosować w rowerze zwykłą latarkę ręczną, jak i profesjonalne lampy rowerowe, które jasno i wyraźnie oświetlą drogę.

Na rynku znajduje się spora grupa latarek taktycznych. Modele te z uwagi na relatywnie kompaktowe gabaryty i dużą moc wiele osób używa w podróży, pod namiotem lub na kempingu.

Do bardzo wyspecjalizowanych latarek należą szperacze. Są to bardzo duże i ciężkie latarki, które mają ogromną moc świecenia (nawet kilku tysięcy lumenów). Tylko kilka modeli śmiało można polecić osobie wybierającej się w podróż. Oczywiście, jeśli ta zdecyduje się dźwigać 400 g więcej w bagażu. Świetnym przykładem szperacza jest Fenix TK41C.

Ile trybów powinna mieć latarka?

Każda latarka ma kilka trybów świecenia. Możemy zmniejszyć lub zwiększyć moc, a tym samym łatwo dopasować działanie do konkretnej sytuacji. Ta cecha może sprawić, że jedna latarka okaże się przydatna do różnych zastosowań.



Rodzaj zasilania i jego dostępność

Na pierwszy rzut oka latarka zasilana bateriami lub akumulatorami AA lub AAA jest najlepszym wyborem. Baterie dostaniemy praktycznie w każdym kiosku na świecie, a ich ceny są dość przystępne. Jeśli jednak potrzebujemy zasilania, które zapewni większą moc niż przeciętnie, dużo rozsądniejszym wyborem będą latarki zasilane ogniwami typu 18650. Akumulatory te są bardzo odporne na samorozładowanie przy ujemnych temperaturach, a ich pojemność pozwala na znaczne zwiększenie osiągnięć latarki. Co prawda akumulator jest droższy od baterii, jednak po kilku miesiącach okaże się, że jest on dużą oszczędnością dla kieszeni. Dla tych, którym nie uśmiecha się dźwiganie latarki i łado-



FENIX

LATARKI ZWYCIĘZCÓW

SPRAWDŹ OFERTĘ NA FENIX.PL

R E K L A M A

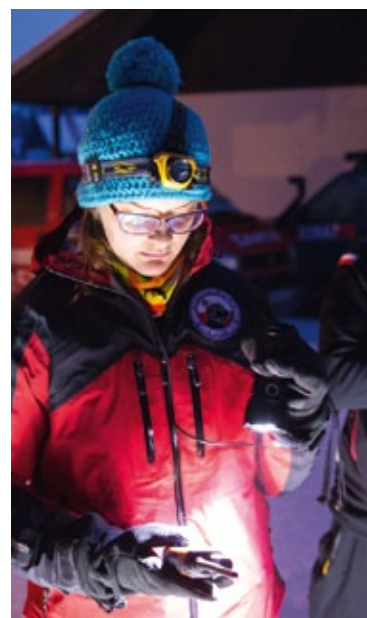
warki, polecamy wybór modelu z funkcją ładowania przez port micro USB.

Jakie wybrać akcesoria?

Akcesoria zwiększają możliwości wybranego produktu. Latarka o dużym zasięgu z dyfuzorem świetnie oświetli pomieszczenie, wnętrze namiotu lub całą jaskinię. Jeśli założymy na głowicę kolorowy filtr, zmienimy jej barwę na łagodniejszą dla oka. Wspomniane zaś mocowanie pozwoli zmienić zwykłą latarkę ręczną w rowerową.

Nie ulegajmy stereotypom, że latarki produkowane w Chinach będą odbiegać od topowych produktów. Pojawiają się marki, które tam powstały, a ich poziom dorównuje najlepszym. Świetnym tego przykładem są latarki Fenix.

FENIX **kolba**



GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

I Ty zostań Harpaganem!

14 października o godz. 21 wystartuje w Człuchowie Ekstremalny Rajd na Orientację „Harpagan”. Na 24-godzinnej trasie uczestnicy będą mieli do pokonania 100 km pieszo albo 200 km rowerem w limicie czasowym. „Harpagan” nie jest imprezą wyłącznie wytrzymałościową. Tu drogę pomiędzy poszczególnymi punktami kontrolnymi każdy ustala sobie sam. Trasa biegnie dzikimi pomorskimi zakątkami, z dala od ruchliwych szos czy zatłoczonych miast. Każdy, kto pokona całą trasę, otrzyma zaszczytny tytuł „Harpagana”. Ci, którzy po raz pierwszy chcieliby spróbować przygody z rajdem, będą mogli spróbować własnych sił w nawigacji i pokonywaniu słałości na trasie pieszej „Harpus” o długości 10 km. Więcej na: www.harpagan.pl/rajd



Kto tu wanoży?

Wanoga to słowo oznaczające w języku kaszubskim podróż, a także określenie kogoś, kto wciąż wędruje, czyli wanoży. Festiwal Przygody Wanoga to jedyna tego typu impreza odbywająca się jesienią w północnej Polsce. Program obejmuje pokazy filmów, slajdów, fotografii, relacje z podróży po najodleglejszych zakątkach świata, rozmowy z podróżnikami, a także imprezy plenerowe (rajd na orientację, spływ kajakowy, zajęcia wspinaczkowe, warsztaty taniego podróżowania, fotografii i prowadzenia bloga). Festiwal obędzie się w Wejherowie w dniach 7–9 października.



W PODRÓŻ MARZEŃ PO POLSCE

Nakładem wydawnictwa Dragon ukazał się pięknie ilustrowany album z serii „Imagine New” pt. „Podróże Marzeń. Polska”. Prezentuje on ponad 200 wspaniałych miejsc przybliżających bogactwo natury naszego kraju, najciekawsze parki narodowe, tereny chronione ze względu na niepowtarzalną przyrodę, a czasami miejsca po prostu urokliwe i doskonałe na wymarzony wypoczynek. Nie brakuje też zdjęć wyjątkowych obiektów kultury materialnej, budzących respekt i podziw dla zdolności i umiejętności dawnych budowniczych, kościołów, katedr, zamków i pałaców.



KADRY ZNÓW POMOGĄ

Dobiegła końca VI edycja konkursu „Kadry ze świata – podróże okiem Polaków”, nad którym Poznaj Świat od kilku lat obejmuje patronat. Wzięło w niej udział 138 uczestników, nadesłano 637 zdjęć ze wszystkich kontynentów. Jury wytypowało 20 zdjęć i nadało im tytuł Kadr Roku 2016. Wyróżnione fotografie będą prezentowane w Fotoforum przez najbliższy rok.

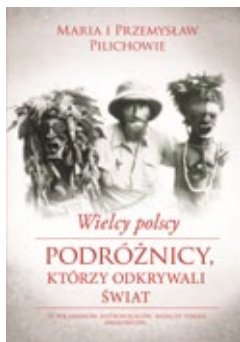
Fundacja Kadry ze Świata powstała z pasji podróżowania, miłości do fotografii i chęci pomocy najmłodszym. Wolontariusze co roku organizują zbiórkę zdjęć i przekazują je na sprzedaż. Za zebrane w ten sposób pieniądze organizują podróże marzeń dla dzieci, które znajdują się w trudnej sytuacji (zdrowotnej, rodzinnej lub materialnej). W tym roku fundacja zbiera na wyjazd dla podopiecznych Stowarzyszenia Otwarte Drzwi. Każdy może pomóc, kupując zdjęcia, koszulki, kalendarze czy zapisując się na szkolenie fotograficzne. Szczegóły na stronie Fundacji: www.kadryzswiata.pl



Wszystkie nadesłane na konkurs zdjęcia są dostępne w galerii Fundacji na facebooku: www.facebook.com/kadryzswiata.

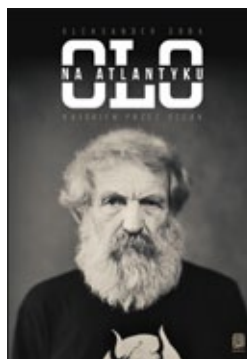
POLSCY ODKRYWCY

Tajemniczy zakonnik, który ćwierć wieku przed Marco Polo dotarł w głąb Azji. Szlachcic, który podbił świat razem z wikingami. Pierwszy Polak, który wszedł na piramidę Cheopsa. Autor pierwszej w Europie książki o roślinności Chin i pierwszego europejskiego opisu Wielkiego Muru. Polski emir powstaniec, który sprowadził do Polski konie arabskie. Twórca nauki o lodzie. Prekursor polskiego reportażu. Badacz życia seksualnego dzikich... 33 historie Polaków podróżników, które warto poznać bliżej: „Wielcy polscy podróżnicy, którzy odkrywali świat” wydawnictwa Muza w księgarniach od 28 września.



DOBY NIGDY DOŚĆ

Każdy chyba słyszał o Aleksandrze Dobie, pierwszym człowieku, który samotnie przepłynął kajakiem Ocean Atlantycki, i to już dwukrotnie! Nakładem wydawnictwa Bezdroża



ukazało się drugie wydanie książki „Olo na Atlantyku. Kajakiem przez ocean”. 70-letni kajakarz opisuje swoje zmagania z naturą, techniką, a także własną wytrzymałością i silną wolą. Pierwsza Transatlantycka Wyprawa Kajakowa to 3200 km pokonanej odległości, prawie 5400 przewiosłowanych kilometrów i niemal 100 dób na oceanie, ale przede wszystkim pierwsze w historii przepłynięcie Atlantyku przez samotnego kajakarza.

Festiwal bardzo otwarty

Travenalia nawiązują do tradycji podróżniczych spotkań organizowanych w Krakowie już w latach 70. Były to imprezy zarówno dla tych, którzy podróżowali, jak i dla tych, którzy tylko o tym marzyli. Przyjeżdżali na nie podróżnicy z całej Polski, a także z egzotycznych krajów. Taką samą formułą przyjęto

dla Travenaliów, które są imprezą o charakterze otwartym i niekomercyjnym (wstęp jest wolny). To pokazy przeźroczy, filmów, prezentacje tematyczne, ekspozycje wydawnictw i oferty turystyczne związane z podróżowaniem, a przede wszystkim znakomici podróżnicy. W tym roku o swoich podróżach opowiedzą m.in.: Bartosz Malinowski, Jan Kurzela, Marek Pindral, Sergiusz Prokurat, Teresa Chudecka i Robert Gondek. Impreza odbędzie się w Krakowie przy ul. Krupniczej 33, w sali Auditorium Maximum, w dniach 22–23 października.



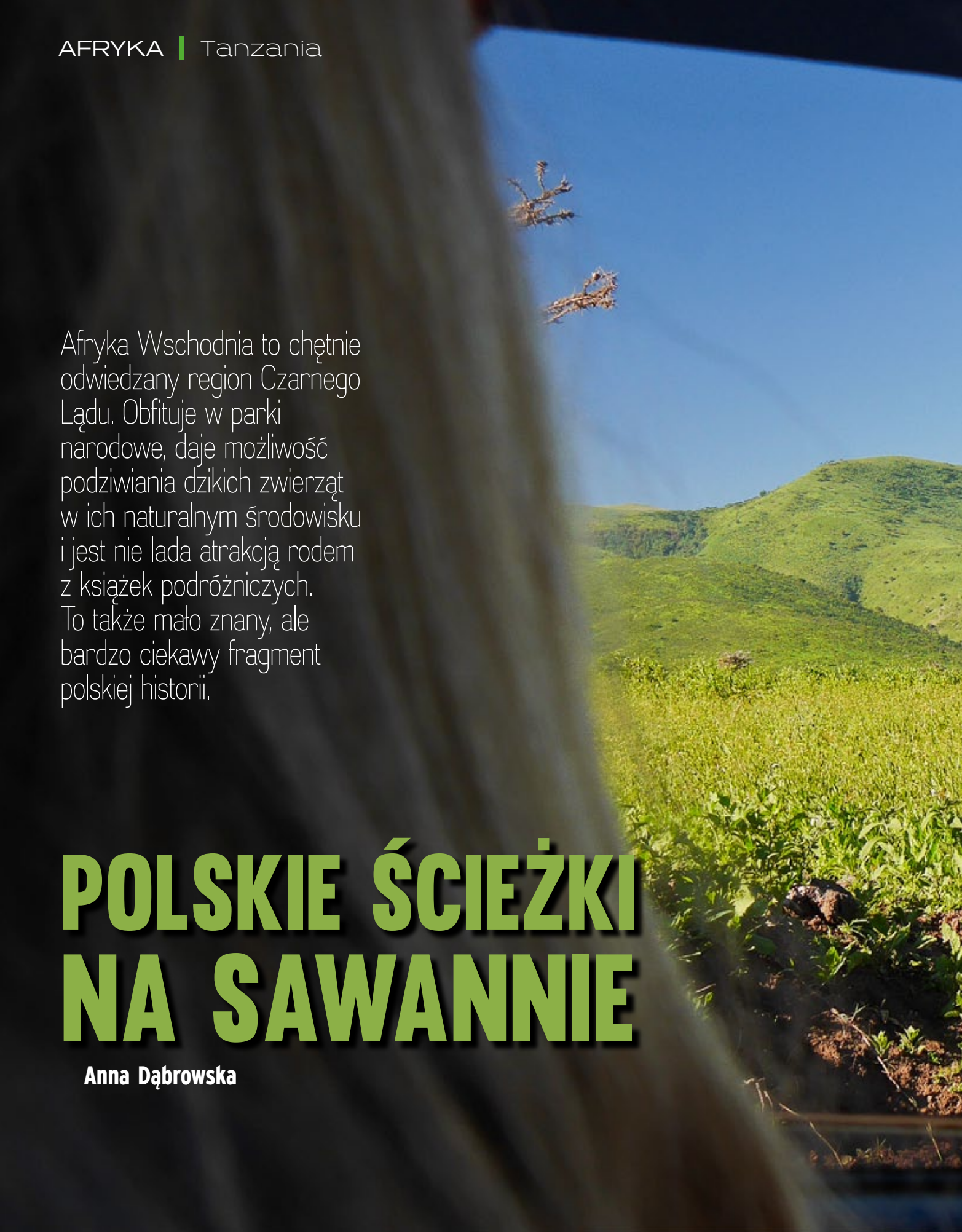
www.travenalia.pl



Afryka Wschodnia to chętnie odwiedzany region Czarnego Lądu. Obfituje w parki narodowe, daje możliwość podziwiania dzikich zwierząt w ich naturalnym środowisku i jest nie lada atrakcją rodem z książek podróżniczych. To także mało znany, ale bardzo ciekawy fragment polskiej historii.

POLSKIE ŚCIEŻKI NA SAWANNIE

Anna Dąbrowska







FOT. ANNA DĄBROWSKA

AKCJA W AKACJACH

Czasem spalona słońcem i sucha, czasem soczyście zielona – sawanna zdaje się nie mieć końca. W akacjach czają się lamparty, a kamienne kopce służą za schronienie lwom.

W handlowym miasteczku Tengeru pod Aruszą mieści się polski cmentarz. Niełatwo się tam dostać. Trzeba zjechać z szosy i długo kluczyć po gruntowej, nierównej i pełnej dziur drodze, by w końcu dotrzeć do meandrującej wśród kolorowych roślin zwirowej ścieżki. Nasza toyota jednak dzielnie radzi sobie z wymagającą nawierzchnią. Trzeba też co chwilę dopytywać się o drogę, bo znaków praktycznie nie ma. Co ciekawe, na pytanie o Cemetery Of Polish War Refugees każdy potrafi wskazać kierunek. I tak, od człowieka do człowieka, w końcu trafiamy na pamiętkę po Polakach, którzy dotarli tu ponad siedemdziesiąt lat temu.

MAŁA POLSKA POD BAOBABEM

Na murze widnieje napis „Cmentarz Wygnańców Polskich” wpisany w polską banderę, a tuż obok błyszczą w słońcu kolorowa flaga Tanzanii. Za wysokim płotem bieleją skromne

groby zesłańców. Leżą w cieniu góry Meru, pod rozłożystymi konarami drzew. W długiej wędrówce Afryka stała się ich ziemią obiecaną, przyjaznym ciepłym łądem, który przyjął ich z otwartymi ramionami.

Kim byli? Wysiedleni z Kresów Wschodnich dawnej RP, w 1940 roku zostali zesłani do łagrów w Związku Sowieckim. ZSRR opuścili w konsekwencji układu Sikorski-Majski wraz z armią Andersa. Do Afryki dotarli drogą morską w 1942 roku z Iranu na pokładzie transatlantyku M/S Batory, który zyskał przydomek *lucky ship*. Czarny Łąd przyjął ok. 18 tysięcy Polaków, głównie sieroty, osoby starsze, chore, niemogące iść dalej. Wygnańcy zostali rozlokowani do obozów w Ugandzie, Kenii i Tanganicy (obecnie Tanzania) w Afryce Wschodniej i Durbanie w Afryce Południowej.

Najmłodszy miał po kilka lat i widzieli w swoim krótkim życiu rzeczy straszne: głód, przemoc, strach, śmierć bliskich. Komunistyczny reżim chciał zrobić z nich „sowietarzy”, ludzi bez korzeni, wiary, rodziny

i przyjaciół. Na szczęście nie udało się. Po długiej i wyczerpującej tułaczce przez m.in. Indie i Persję, w Tengeru zamieszkało 8 tysięcy osób. Polski obóz pod Aruszą nie był jedyną tego typu placówką w Tanzanii, jednak był największy i najlepiej rozwinięty w całej Afryce Wschodniej. Działał niezwykle prężnie. Dzieci chodziły do polskich szkół, a kadra nauczycielska rekrutowała się spośród starszego pokolenia zesłańców. Działały drużyny harcerskie, kościoły różnych wyznań, kółka zainteresowań. Był szpital, ogród, sierociniec. Wszystko zorganizowane tak, żeby choć trochę móc poczuć się jak w domu. Taka mała Polska pod baobabem.

W 1947 roku komunistyczny rząd polski rozpoczął działania mające na celu zamknięcie polskich obozów dla zesłańców. Jednak praktycznie nikt nie chciał wracać do Polski komunistycznej. Niektóre dzieci były tak małe, kiedy przymusowo wywożono je na Wschód, że prawie w ogóle nie pamiętały kraju przodków. Poza tym w nowej polskiej rzeczywistości nie mogły liczyć na wsparcie. Obawiano się szykan i prześladowań ze strony nowych władz. Polskie dzieci i młodzież przyjęto w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii oraz Nowej Zelandii. Z mrozów Syberii pod słońce Afryki i dalej w świat. Niektórzy jednak na zawsze zostali w Tengeru.

Po latach wielu sybiraków przyzna, że czas spędzony w Afryce był najlepszy w całym ich życiu. Kojarzy się z beztrudną dziecięcą zabawą i odkrywaniem Czarnego Lądu, który tak gościnnie ich przyjął.

Zesłańcy założyli stowarzyszenie „Klub pod baobabem”. Wychowankowie z wychodźczych sierocińców po zamknięciu obozów organizowali spotkania w różnych krajach, ale na pierwsze w ojczyźnie musieli czekać aż cztery dekady. „Klub pod baobabem” działa od 1989 roku we Wrocławiu. Sybiracy-Afrykańczycy, jak o sobie mówią, co jakiś czas organizują zjazdy. Wtedy na nowo odżywają wspomnienia z rajów, bo tak wielu z nich i dzisiaj myśli o Afryce czasu dzieciństwa i młodości.

Kilka lat temu nekropolia pod Aruszą przeszła gruntowną renowację – piątka młodych ludzi z Krakowa odbudowała uszkodzone nagrobki i odnowiła napisy. Cmentarz



KRES TUŁACZKI

Nieduży cmentarz w Tengeru to świadectwo wojennej tułaczki Polaków – syberyjskich wygnańców.



to miejsce ekumeniczne – mieszczą się tu groby katolickie, protestanckie, prawosławne i żydowskie. Pochowano na nim ponad 150 osób. Większość z nich zmarła w wyniku chorób tropikalnych lub z powodu wyczerpania długą drogą i pobytem w sowieckich łagrach. Ostatni Polak, pan Edward Wójtowicz, zmarł tu w marcu 2015 roku.

W Tengeru Polacy pozostawili po sobie m.in. plantacje drzew kawowych, które przetrwały do dzisiaj. W części poobozowych zabudowań mieści się obecnie wyższa szkoła rolnicza. Cmentarzem opiekują się polscy misjonarze.

Nad Tengeru wieje lekki ciepły wiatr. Po południe niebawem zamieni się w wieczór i Afrykę spowije lepka czerń nocy. Żwirową ścieżką, nieregularnymi wybrzuszeniami gruntowej drogi srebrny korpus toyoty wspina się z powrotem ku asfaltowej szosie.

FOT. ANNA DĄBROWSKA

CO WIADOMO O LWACH I HIPOPOTAMACH

Lwy: przeważnie odpoczywają, rozkładają się wygodnie i leniwie spędzają słoneczne dni.

Hipopotamy: są rozmowne, krzykliwe, głośne, prowadzą ze sobą nieustanny dialog.



FOT. ANNA DĄBROWSKA

DZIKIE ŻYCIE W KRATERZE

Stroma szutrowa droga ciągnie się skalistym zboczem prosto na dno krateru Ngorongoro. To niezwykle miejsce, jedno z najpiękniejszych, jakie widziałam. Z drogi widać ogromny obszar zieloności z ciemnym okiem jeziora pośrodku. Oto przestrzeń, w której bytują lwy, hipopotamy, zebry, gazy, antylopy gnu i nosorożce, a także wiele innych afrykańskich stworzeń. Razem, jak głośną źródła, ok. 25 tysięcy sztuk.

Bilet wstępu kosztuje słono – zjazd na dno krateru to wydatek 200 USD, ale warto zobaczyć to niesamowite dzieło przyrody chociaż raz w życiu. Scenek rodzajowych z życia zwierząt jest bez liku. Śpiące lwice – muskularne ciała odpoczywają po uczcie, tylko brzuch napina się od wciągania przez duże nozdrza powietrza. W tle przebiega hiena. Nie znalazłszy padliny, zaczyna polowanie na dwie ledwo

odrośnięte od ziemi gazelki. Ale one są czujne, hiena nie ma szans. Zgarbiona i zawstydzona umyka. Za to tuż obok samochodu materializuje się szakal. Niskie zwierzę z opuszczoną głową zdaje się czegoś szukać.

Hipopotamy leżą po uszy w wodzie. To gadatliwe i głośne stworzenia. Co chwilę któryś z nich wydaje bulgoczące dźwięki i porykiwania. Ciała leniwie wynurzają się powyżej tafli bajorka. Hipopotam wygląda jak ogromna nadmuchana żaba. Podchodzi do brzegu bajora i jednym płynnym ruchem zanurza się w wodzie. Gorzej z wygramoleniem się z powrotem na trawę. Tu nie ma już płynności, ale spory wysiłek, aby obłe grafitowe cielsko wydobyć na powierzchnię. A cóż to? Oto do walczącego z prawami fizyki hipopotama biegnie niewielki biały ptaszek na długich nogach i zanim wielkie cielsko stanie na czterech łapach, wścibski skrzydlak przysiądzie mu na grzbiecie. I tak

SMUTEK SAMOTNIKA

Samotny nosorożec to rzadki widok. Gatunek ten jest na granicy wyginięcia ze względu na jego róg, który w Chinach uznawany jest za lekarstwo i afrodyzjak.



PLEBANIA POD RÓWNIKIEM

Ksiądz Wojciech stworzył przyjazną przestrzeń, pełną polskiej i afrykańskiej symboliki.

we dwoje będą sobie trwać przez resztę dnia w zielonym krajobrazie.

W oddali dostrzegam duży czarny głaz. Jedno spojrzenie przez lornetkę rozmywa skalne skojarzenia. To nosorożec, samotnik. Wegetarianin w pancerzu z grubej skóry po-

krytej wrażliwym naskórkiem. Olbrzym o łagodnym spojrzeniu. Nieruchomo tkwi w połaci mocno zielonej trawy.

W Afryce dzień zaczyna i kończy się wcześniej niż w Europie. Niebawem nad Ngorongoro nadciągnie zmrok. W świetle popołudniowego słońca wielkie cielsko nosorożca zlewa się z ciemniejącą ścianą krateru. Czas wracać na górę.

MISJA DLA BOHATERA

Przy asfaltowej drodze łączącej Mwanzę z Musomą leży niewielka, ale niezwykła wioska Kiabakari. Trzeba skrócić w zamaskowany zielonością pylisty trakt i wdrapać się na wzniesienie. Przybyszy wita herb Krakowa oraz uważne oko aparatu fotograficznego. To ksiądz Wojciech Kościelniak dokumentuje wjazd starej toyociny na swój przydomowy parking.

Kiabakari to polskie miejsce na mapie Afryki, które jest dziełem życia księdza Wojciecha. Plebania, kościół, szkoła oraz szpital z prawdziwego zdarzenia. Tutaj dzięki staraniom księdza, darczyńcom oraz lekarzom chcącym pomagać mieszkańcom Czarnego Łądu leczy się proste choroby, operuje, pomaga bezpiecznie przyjść na świat małym ludziom. Profesjonalna sala porodowa z aparatem USG umożliwia rodzicom podejrzenie swojego dziecka.

Misja księdza Kościelnika jednak na tym się nie kończy. Duchowny działa na wielu frontach, stara się ułatwić życie mieszkańcom Kiabakari i okolic. Powstaje biblioteka, wdrażane są nowe projekty, jak na przykład ten o nazwie „Spójrz i uśmiechnij się”, który dotyczy powołania do życia kliniki



FOT. ANNA DĄBROWSKA

okulistyczno-dentystycznej. Celem projektu „Świetna Szkoła” jest doposażenie placówki edukacyjnej. Programy te można wspierać, przekazując datki lub 1% podatku, a wszystkie szczegóły znajdują się na stronie Fundacji Kiabakari: www.kiabakari.org.

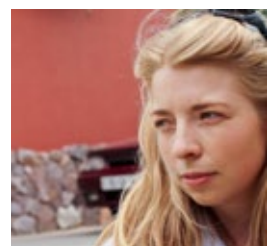
Ksiądz Wojciech mieszka w Afryce od 25 lat. Mówi, że było różnie. Kiedy przyjechał do Kiabakari, w miejscu misji stały niewielkie zabudowania, a teren plebanii porastała wysoka trawa. Dziś dom księdza to wnętrze, w którym jest równocześnie i polsko, i afrykańsko, a przede wszystkim przyjaźnie. To oaza spokoju i dobra, na którą trafiamy w połowie naszej afrykańskiej odysei – ze zdradzającym objawy ciężkiej depresji samochodem, z kurzem z parku Serengeti mocno trzymającym się naszych włosów i do zera rozładowanym sprzętem. Po kolacji ksiądz Wojciech zabiera nas w podróż w przeszłość i teraźniejszość Afryki. O swojej drugiej ojczyźnie opowiada z pasją i nie pomija trudnych tematów.

Wizyta w polskiej misji daje spokój. Afryka jest nagle obłaskawiona, choć wciąż zaskakująca. Spotkanie z człowiekiem, który od ćwierć wieku robi wspaniałą robotę, to otwierające oczy wydarzenie. Dwa dni później kaszłąca toyota wjeżdża na nocny prom przez Jezioro Wiktorii. Po jego drugiej stronie czeka wielka ugandyjska przygoda. ○

R E K L A M A



FOT. ANNA DĄBROWSKA



Anna Dąbrowska

Dziennikarka, tłumaczka, włóczykij, motocyklistka. Odwiedziła 50 państw na 5 kontynentach. „Kocia mama”, autorka książki dla dzieci „Podobno koty żyją dziewięć razy”. Prowadzi bloga „Projekt Dziadek. Blog z Powstania Warszawskiego” (projekt-dziadek.blogspot.com).



RZĘKA ZAMIĄST BIURKA



foto: lukasz dlugowski

Dzięki mikrowyprawom zrozumiałem, że w podróży nie chodzi o to, żeby pojechać jak najdalej, ale o to, żeby zobaczyć coś nowego, nieznanego. Wydaje nam się, że to, co najciekawsze, jest po drugiej stronie świata, a tak naprawdę białe plamy mamy tuż pod nosem

Dotało to do mnie, kiedy poznałem pana Marka, który od dziecka żył na Bugu. Przez 20 lat był rybakim, łowił zawodowo, na sieci. Najpierw od Popowa Kościelnego do 17. kilometra, a z czasem od ujścia Bugu do Zalewu Żegrzyńskiego. Przez lata był nieoficjalnym królem podwarszawskiego Bugu, rzekę zna lepiej niż własną kieszeń. Teraz jest na emeryturze, przez wodę nabawił się reumatyzmu i już nie łowi, ale ma niesamowitą wiedzę. Razem ze Stasiem,

moim kumplem, ruszyliśmy z nim na rzekę łodzią, żeby opowiedział nam trochę o tym świecie.

– *Rybak to jest zawód szlachetny.*
– *Dlaczego?*
– *Bo rzeka to jest natura i trzeba się umieć wobec niej zachować.* – To były jedne z pierwszych słów pana Marka, które uświadomiły mi, że nie mamy do czynienia z wyrobnikiem, który tylko zarzucał sieci, ale z kimś, dla kogo ten zawód był czymś więcej. Czymś bliższym sztuce niż zwykłemu zarabianiu na życie.

– *Ryba jest jak chleb. Ryba jest czymś podstawowym w życiu, fundamentalnie ważnym, czymś niemal świętym.* I może coś w tym jest. Czy ryba nie była symbolem Jezusa i pierwszych chrześcijan? Czy Jezus nie rozmnożył chleba i ryb, jakby oba pokarmy równały ze sobą?

Na poszczególne części rzeki pan Marek ma swoje nazwy: cichacze to starorzeczka, gdzie woda jest płytsza, raczej spokojna, stoi. Tam rosną kaczeńce, leżą powalone drzewa. Ślepotą to odnoga bez odpływu. Takie zatoczki to dobre miejsce do żeru i lęgu ryb, bo na przewalonych konarach są robaczki, którymi ryby się żywią. Kiedy wpływamy w kolejne ślepoty albo cichacze, pan Marek komentuje:

– *O, tu brały dobre liny! Tu łapałem trzykilogramowe leszcze! Ryby lubią różne miejsca, sandacz – żwir, a lin – muł. Ryba idzie na żer przy niskim ciśnieniu, przy wysokim leniwieje.*

Kiedy odpycha łódź wiosłem, słucha, jaki odgłos wydaje: czy szura po żwirze, czy szumi po piachu. Patrzy na powierzchnię, zwraca uwagę na to, czy woda ma zmarszczki, czy bąbluje albo czy

się łuszczy. Po tym ocenia, co kryje się pod wodą i jaki gatunek ryb może tu być.

Mówi, że kochał tę pracę, ale była ciężka i niewdzięczna. Czasami zdarzał się dobry połów: 20 kg czerwonej i 10 kg białej ryby (czerwone to drapieżniki, np. szczupak, białe to lin, płoć, miętus). A przeciętnie?

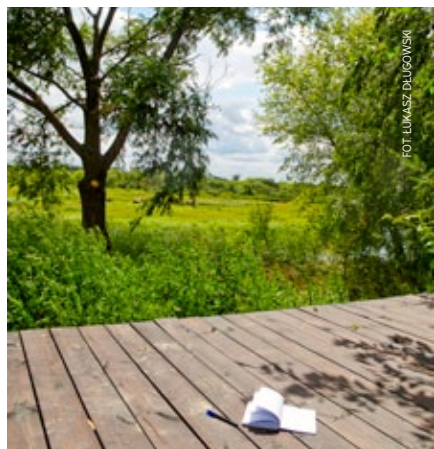
– *Przeciętnie mogło i nic nie być. Albo 10 kg leszczyków, linów, i to z kilkunastu sieci, po całej nocy siedzenia na rzece.*

Zdarzało się nawet, że musiał gonić kłusowników.

– *Normalnie to wyglądało tak, że zostawiałem sieci i całą noc czekałem na łodzi. Pilnowałem, żeby nikt ich nie ukradł. Jak byłem w bezpieczniejszej okolicy, słuchałem wiadomości z radia, a jak nie, to nasłuchiwałem wody, czy nic nie pluska, czy do rzeki nikt nie wchodzi. Raz się spóźniłem. Już pakowali sieci do wozu. Chciałem w nich odpalić flarę z pistoletu, ale byli za daleko. A od takiej świecy, jakby trafiła w samochód, to z samochodu pochodnia.*

O rzece mówi z czułością, wrażliwością, niemal z miłością. Gdy wypływa łódką na wodę, bierze ze sobą worek po ziemniakach i zbiera śmieci. Denerwują go. Cieszy się, kiedy rzeka tworzy bystrza, ślepoty i cichacze, na których mogą żerować ryby.

Najbardziej wkurza go zostawianie rzeki samej sobie. Jest fanem carskich główek (sztucznych umocnień wyrastających z brzegów, budowanych w celu regulacji nurtu), które nie pozwalają się rzece rozlewać. Jest węższa, ale głębsza. Nie podmywa i nie niszczy brzegów. Jeśli się rozlewa, staje się płytsza i niezeglowna. Piachem wymyтым z brzegów zakleja wloty i wyloty starorzeczy. Te stają się coraz płytsze i ryba nie ma się gdzie trzeć.



Myślałem, że Bug jest głęboki, ale wielokrotnie musieliśmy wyłączać silnik, podnosić go i odpychać się wiosłem, bo szorowaliśmy po dnie. Woda w niektórych miejscach miała nie więcej niż pięć centymetrów głębokości. Miałem cichą nadzieję, że w końcu utkniemy, trzeba będzie wyjść z łodzi i ją przepychać, i będziemy mieli takie małe Camel Trophy. Niestety, zawsze udawało się przepchnąć łódź samym wiosłem.

Dom pana Marka stoi nad brzegiem Bugu, który pozostawiony sobie (w PRL-u za regulację rzek odpowiadało Przedsiębiorstwo Robót Wodnych, teraz nie odpowiada nikt) zaczął się rozlewać i podchodzić pod budynek, więc pan Marek umacnia carską główkę kamieniami i sady wierzby, żeby wiązały korzeniami ziemię i zapobiegały wymywaniu brzegów. W ogrodzie leży sterta kamieni, które przywożą mu rolnicy, wielkich jak strusie jaja. Co jakiś czas buduje z nimi opaski – wiklinowe płotki okalające brzegi, które zapobiegają podmywaniu. Przeklina, gdy wzdłuż brzegów widzi zniszczone opaski.

Kiedy płynęliśmy po rzece, zatrzymał się i wyławił z niej co lepsze kawałki drewna, które potem wykorzystywał przy umacnianiu brzegów. Otwarcie mówi, że nie znosi bobrów, bo w nadmiarze są szkodnikami. Niszczą naturalne zbrojenia brzegów – drzewa i krzewy, które nie wiążą ziemi korzeniami, i rzeka może łatwo je podmywać. Zimą z kolei, kiedy przychodzi kra, zdiera brzegi z niesamowitą siłą. Rzeka może się dalej rozlewać, wypływać i zamulać.

Kiedy płynęliśmy po kolejnych zakolach, dotarło do mnie, że dla pracownika korporacji, dla którego codzienność to metro, kawa z ekspresu i 10 godzin przed laptopem, świat pana Marka może być równie odległy jak życie Inuitów na Grenlandii.

Obaj – rybak i pracownik korpo – zapewne nawet nie wiedzą o swoim istnieniu. Ich światy nigdy się nie spotykają. Wieczorami obaj mogą patrzeć w gwiazdy, zastanawiając się, czy jest życie w kosmosie, a tymczasem życie jest tu, na Ziemi. Mikrowyprawy są jak pomost, który łączy oba te światy. Żeby je odkryć, wystarczy zacząć go budować i zwykle trwa to krócej, niż nam się wydaje. ◉

Informacje praktyczne:

- Kontakt do pana Marka można uzyskać przez agroturystykę w Jackowie Dolnym – www.domnadwierzbami.pl.
- Miejsce: Jackowo Dolne nad Bugiem.
- Czas: 3–6 h, zależnie od przejazdów.
- Co jest potrzebne: odzież uzależniona od pory roku.
- Koszt: 50 zł przewodnik.
- Poziom trudności: brak, dostępne dla każdego.

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy

Przejsć tak ogromne lotnisko to nie lada wyzwanie. Pełen luksusów port lotniczy Incheon ma pole golfowe, spa oraz... lodowisko. Dla pasjonatów tradycji też coś się znajdzie, bo jest tu również Muzeum Kultury Korei. Znalazłam się w kraju, w którym specyficzne obyczaje i bardzo szybko rozwijająca się gospodarka idą ze sobą w parze. Właśnie zaczynam czteromiesięczną przygodę studentki na międzynarodowej wymianie.

JEJU, CZEDŹU!

Po polsku Czedżu, po koreańsku Jeju, to warta zwiedzenia wyspa, ukształtowana przez erupcję. Znajdujący się tam uśpiony wulkan Halla-san (1950 m n.p.m.) jest jednocześnie najwyższym szczytem kraju. Prowadzi na niego kilka ciekawych szlaków turystycznych.

ŚPIEWAJ I PRACUJ

Monika Pietrasik



STROJNE POZY

Strój narodowy *hanbok* nosi Koreańczyk w każdym wieku, głównie podczas świąt. Dawniej różne rodzaje *hanboków* były podzielone według statusu, płci i wieku noszących.

Zmęczona dystansem, jaki pokonałam, znajduję w końcu upragnione wyjście z lotniska. Po drugiej stronie ulicy spostrzegam łopoczącą na wietrze flagę, przypominającą nieco logo Pepsi. Symbolika flagi Republiki Korei Południowej ma ściśle znacze-

nie. Biel tła jest symbolem czystości, ducha pokoju i sprawiedliwości. W centrum flagi znajduje się niebiesko-czerwony tajiitu – symbol jedności i równowagi. Kolor niebieski symbolizuje czujność, a czerwony – wytrwałość. Wokół są umieszczone cztery trygramy.



FOT. PARAT PNUKUL - SHUTTERSTOCK

**TRZY DNI DLA RODZINY**

Chuseok, czyli koreańskie święto dziękczynienia, nazywane także *hangawi*, trwa trzy dni. Jest to jedna z najważniejszych uroczystości w Korei Południowej i czas poświęcony głównie dla rodziny. Młodzi wracają do swych domów, a cały kraj staje wtedy w gigantycznych korkach. Koreańczyk dziękują sobie wzajemnie za wszelką pomyślność. Kobiety stają się gospodyniami i przygotowują tradycyjne potrawy dla najbliższych – pierogi, ciasteczka ryżowe, *hangwa* – ciastka miodowe. Także – wołowinę *bulgogi*. Oczywiście

na stole nie brakuje także napojów alkoholowych, przede wszystkim rozślawionego *soju*, tworzonych na bazie ryżu, ziemniaków oraz pszenicy.

Chuseok to również czas na tradycyjne gry i zabawy dla całej rodziny, takie jak: koreańskie zapasy, tradycyjne tańce czy gry planszowe. Na

Wraz z moją studencką rodziną wybraliśmy się w tym czasie na Czedżu. To wyspa pochodzenia wulkanicznego położona w Cieśninie Koreańskiej, nazywana ósmym cudem Korei. Lot trwał zaledwie 30 minut i z pochmurnego, wietrznego Pusan przenieśliśmy się w rajski zakątek z klimatem subtropikalnym.



FOT. MAXAM TURKOV - SHUTTERSTOCK

uliczkach można dostrzec młodych chłopców i dziewczynki przebrane w tradycyjne stroje *hanbok* wywodzące się jeszcze z czasów Trzech Królestw. Początkowo stroje kobiet i mężczyzn niewiele różniły się od siebie. Później kobiety zaczęły nosić długie spódnice oraz bluzy z długimi rękawami, wiązane w pasie i z białym kołnierzykiem doczepianym do dekoltu. Na bluzie widniał rodzaj wstążki wiązanej z przodu. Mężczyźni z kolei zaczęli ubierać się w tradycyjny kapelusz, luźne workowate spodnie oraz bluzy – takie jak u kobiet, tylko z dłuższymi rękawami.

SYRENY Z CZEDŻU

Wyprawę po wyspie zaczęliśmy od wodospadu Cheonjeyeon. Szum wody i otaczająca go roślinność tworzą unikalną atmosferę. Wodospad, którego wody wpadają wprost do Oceanu Spokojnego, zachwyca swoją potęgą i elegancją. Któregoś dnia wybraliśmy się na poranne nurkowanie. Ciemny kolor skalistego brzegu współgrał z błękitnym, bezchmurnym niebem. Dotyk delikatnie zimnej wody oraz ruchu fal o poranku był najlepszą receptą na udany początek dnia. Wraz z instruktorem nurkowania udaliśmy się na plażę. Wtedy w oddali

ŁOWIĄ I ŻYWIĄ

Haenyeo z Czedżu przed wypłynięciem na połów. Szybko rozwijająca się turystyka znalazła sposób na zarabianie na „syreniej” sławie. Wiele firm oferuje tutaj kursy, szkoły czy tylko pojedyncze próby nurkowania, aby choć na chwilę przemienić turystkę w dzielną poławiaczkę.

SPAD DO OCEANU

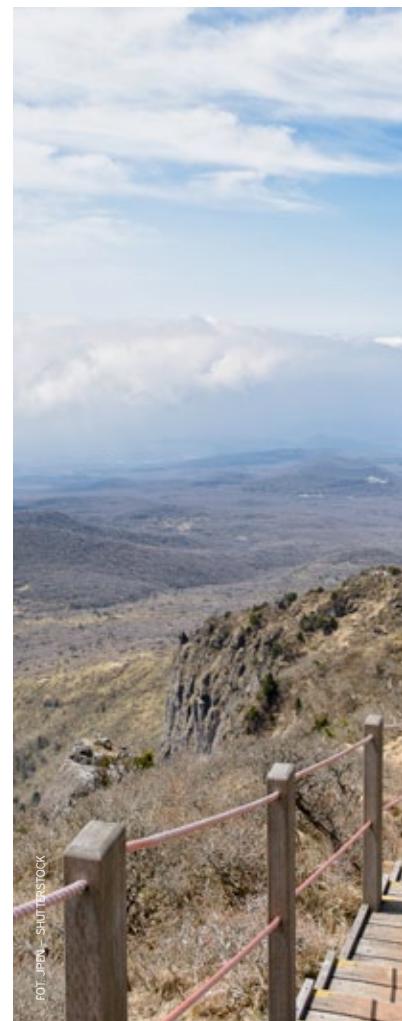
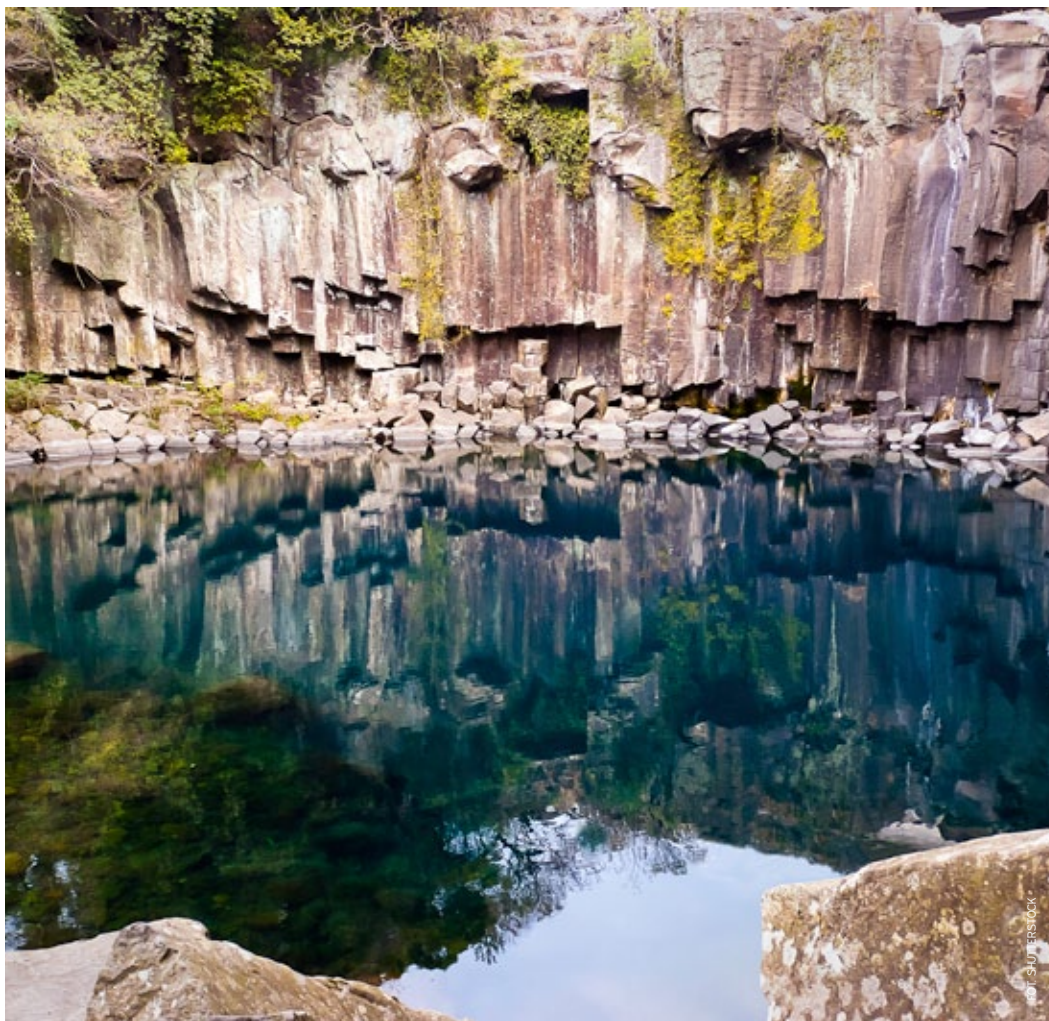
Cheonjeyeon, słynny wodospad, który wpada wprost do Oceanu Spokojnego, złożony jest z trzech części. Na zdjęciu widać tylko jego pierwszy poziom.

dostrzegłam drobną postać z siecią, siedzącą na brzegu czarnego klifu. To była jedna z legendarnych „syren” *haenyeo*...

Czedżu ukształtowała własną odrębną kulturę. Postrzeganie kobiet jest tu odmienne niż w pozostałych regionach Korei. W świadomości mieszkańców żyją jeszcze bogate i owiane

nia. Łowią ośmiornice, skorupiaki, kalmary czy małże i schodzą nawet na głębokość 20 metrów.

Od XIX wieku uważa się tutaj, że ciało kobiety jest lepiej przystosowane do nurkowania ze względu na wyższy poziom tłuszczu. Kobiety z Czedżu pływają bez sprzętu, a chroni je tylko pianka. Ich zawód jest niezwykle nie-



tajemnicą legendy oraz mity, ale historia „syren” opowiada o kobietach prawdziwych i niesamowitych. Te z Czedżu uczestniczyły nawet w jednym z głośnych i masowych protestów, kiedy to w 1931 roku odważnie wyszły na ulicę przeciwko japońskim okupantom. *Haenyeo* – po koreańsku „kobiety morza” – są niezwykle silne i niezależne. To one stały się głowami rodziny, kiedy zaczęły być ich głównymi żywicielkami, mężczyźni zaś przejęli domowe obowiązki. Potrafią nurkować bez większego wyposaże-

bezpieczny. *Haenyeo* z powodu swego specyficznego zawodu doskwierają różne choroby: bóle głowy i stawów, głuchota, dolegliwości sercowe. Naukowcy przypuszczają, że zawód poławiaczek może wyginąć w ciągu kilkadziesiąt lat. Ich przeciętna wieku wynosi dziś około 50 lat, a córki nie bardzo chcą kontynuować zawód swoich matek. Nadal jednak na Czedżu można dojrzeć „syreny” w akcji. Niedawno rząd koreański wyszedł nawet z inicjatywą wpisania ich na listę UNESCO.

Po porannym i dość wymagającym nurkowaniu udaliśmy się na zdobywanie gór Halla-san. Ze względu na chwilową niedostępność niektórych tras wybraliśmy ścieżkę zwaną Yeongsil, liczącą około 4 km. Obiecywała niesamowite widoki. Najlepszymi porami roku, aby odbyć wycieczkę i podziwiać

JAK POŁKNAĆ OŚMIORNICĘ

Po spędzeniu trzech dni na Czedżu wracamy do nadmorskiego Pusan, miasta portowego położonego na południowym wybrzeżu, drugiego co do wielkości w Korei. Na początek udajemy się na popularny targ rybny Jagalchi. Tutaj jedni zachwy-

ŚCIEŻKA DLA ZDROWIA

Na szlaku Yeongsil. Drewniane schodki z linami wodą na jeden z punktów widokowych. Nie brakuje tu wędrowców, wśród których szczególnie usportowioną grupę stanowią seniorzy dzielnie pokonujący wyspiarskie ścieżki.



różnorodność kolorów górzystych pasm, są lato i jesień. Republika Korei Południowej w 80 procentach jest pokryta górami. Piesze wycieczki oraz wspinaczka są bardzo popularne wśród Koreańczyków. Wyspa odgrywa też niezwykle ważną rolę w ochronie rzadkich gatunków. Na najwyższych wierzchołkach gór możemy dostrzec nawet arktyczne gatunki roślin pochodzące z epoki lodowcowej. Na wyspie występuje ponad połowa koreańskich roślin naczyniowych.

cają się różnorodnością owoców morza, inni bywają przerażeni rekinami w akwariach czy ośmiornicami wychodzącymi z pojemników. Sprzedawcami są głównie kobiety. Trzymają w rękach noże i tłuczki, wyjmują z wielkich akwariów orientalne oceaniczne przysmaki, a następnie zręcznie przygotowują je kucharzom do przyrządzenia. Bo obok ich stoisk znajduje się wiele restauracji, w których można posmakować świeżej potrawy.

KUPUJ, ALE SIĘ NIE ZACIĄGAJ!

Stoisko na targu rybnym Jagalchi. Misternie rozłożone ryby mają zachęcić do kupna owoców morza. To istny raj dla smakoszy, ale zawsze towarzyszy mu odstręczający zapach.

Jednogłośnie decydujemy się na spróbowanie *niggaki*. Przepis wydaje się całkiem prosty: żywa ośmiornica jest krojona w kawałki, a następnie podawana do spożycia. Kawałki polane sosem sezamowym wciąż wiją się na talerzu, a nadmiar wyobraźni zaczyna płatać figle. Wizja tego, że umrę w Korei z powodu mojej zachcianki, zaczyna być przerażająca. W końcu jednak decyduję się

RÓWNI I TACY SAMI!

Był wieczór. Po spacerze urokliwą promenadą z widokiem na diamentowy most udaliśmy się na karaoke. W każdym mieście można znaleźć bary, które oferują specjalne dźwiękoszczelne pokoje, gdzie można sprawdzić swój talent muzyczny. Koreańczycy to wielbiciele karaoke. W sali do śpiewania znajduje się kilka mikrofonów oraz duży ekran wyświetlający



ĆWICZYĆ KAŻDY MUSI
Młody Koreańczyk po szkole spędza dużo czasu w bibliotekach lub na zajęciach dodatkowych, wśród których gra na instrumencie należy do najpopularniejszych.

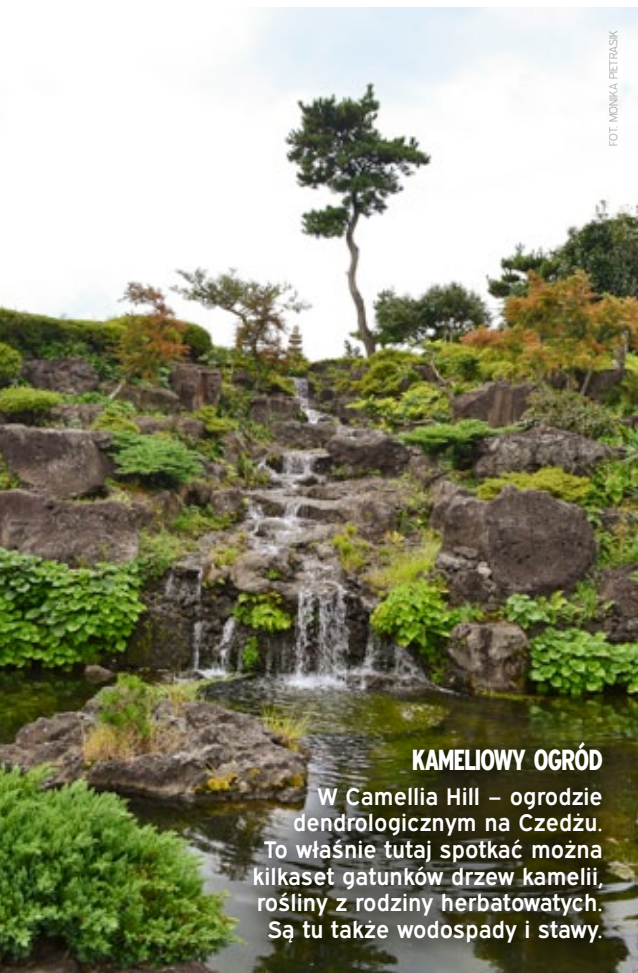
na pierwszy ruch. Delikatnie używam palczek i ostrożnie próbuję uchwycić mobilny kawałek. Sos nie ułatwia zadania i moja ofiara szybko się wyslizguje. Po chwili jednak połykam ją, ale nie chcę wiedzieć, co będzie się działo w żołądku.

„Ruchome” danie to dla Koreańczyków normalny sposób jedzenia ośmiornicy. Potwierdza to opinia mojej koreańskiej koleżanki: – *Uwielbiam to uczucie, gdy ośmiornica powoli porusza się w moim przetyku...*

napisy i teledyski piosenek. Można też znaleźć tu dodatkowe atrybuty muzyczne czy sceniczne, takie jak trąbki, bębny, peruki. Bary karaoke oferują również przekąski, napoje oraz alkohol. Uwielbiany jest gatunek muzyczny zwany k-pop, który powstał właśnie w Korei Południowej na bazie hip-hopu, electropopu oraz muzyki dance. To wybuchowa mieszanka, która chwyciła za serce fanów karaoke, szczególnie nastolatków. K-pop przerodził się w subkulturę rozprzestrzeniającą się już poza

granicę Korei. Dla Koreańczyków to jedna z najczęstszych form rozrywki i relaksu po ciężkim dniu w pracy lub szkole.

Warto zauważyć, że niesamowicie rozwijająca się technologia, dyscyplina pracy, dążenie do kariery sprawiają, że rośnie presja, której poddawani są mieszkańcy tego kraju. Tymczasem i tutaj ludzie to nie maszyny, które mogą działać przez całe życie na najwyższych ob-



FOT. MONIKA PIETRASIK

KAMELIOWY OGRÓD

W Camellia Hill – ogrodzie dendrologicznym na Czedżu. To właśnie tutaj spotkać można kilkaset gatunków drzew kamelii, rośliny z rodziny herbatowatych. Są tu także wodospady i stawy.

rotach. Do tego dochodzi kultura kolektywistyczna. W Korei nie ma miejsca na indywidualności, wszyscy są równi, tacy sami i dążą do tego samego... Jedno z największych marzeń każdego Koreańczyka to pracować w wielkiej korporacji, najlepiej takiej jak Samsung czy LG.

Rośnie również presja na edukację. Według wielu statystyk uczniowie z Korei biją wszelkie światowe rankingi z zakresu matematyki, są drudzy w czytaniu oraz trzeci w kierunkach przyrodniczych. Ich rodzice zabiegają



ODZIEŻ, AKCESORIA I OBUWIE NA WYPRAWY MAŁE I DUŻE




TURYSTYCZNY SKLEP INTERNETOWY
www.trekmondo.pl

TREKMONDO
ul. Mazałowicka 20
43-502 Czechowice-Dziedzice
tel. 032 30 75 476

R E K L A M A

o stworzenie im jak najlepszych warunków edukacyjnych już od wczesnego dzieciństwa. Każdy maluch jest zapisywany na mnóstwo zajęć pozalekcyjnych. Nie jest tutaj niczym wyjątkowym, że dziecko umie grać na jakimś instrumencie – gitarze czy pianinie – na którym potrafi potem dawać niesamowite koncerty. Nie bez powodu Chopin jest tak bardzo znany w Korei. Brzmi to wszystko całkiem fajnie, ale te umiejętności dzieci i młodzieży są często poprzedzone istną katogą.

Republika Korei Południowej to kraj specyficzny i emanujący oryginalnością. Otwarty na wpływy zachodniej kultury, jednocześnie twardo strzegący swojej tradycji. Aby choć trochę zrozumieć mechanizm tej azjatyckiej maszyny, trzeba jednak przyjechać tu na dłużej. Cztery miesiące studenckiej wymiany chyba nie wystarczą. ○



Monika Pietrasik

Studentka psychologii oraz dziennikarstwa i komunikacji społecznej. Podróżniczka, miłośniczka autostopu i tego, co nieznanne. Zamiast rzeczy kolekcjonuje wspomnienia.

CZAS SIĘ ZATRZYMAŁ W GAZIANTEP

Serdar Comez

Gaziantep jest największym ośrodkiem przemysłowym i handlowym w południowo-wschodniej Turcji. To miejsce pełne czaru, z hammami, karawanserajami i bazarami, gdzie rzemieślnicy wyrabiają miedziane naczynia tak samo, jak 500 lat temu.

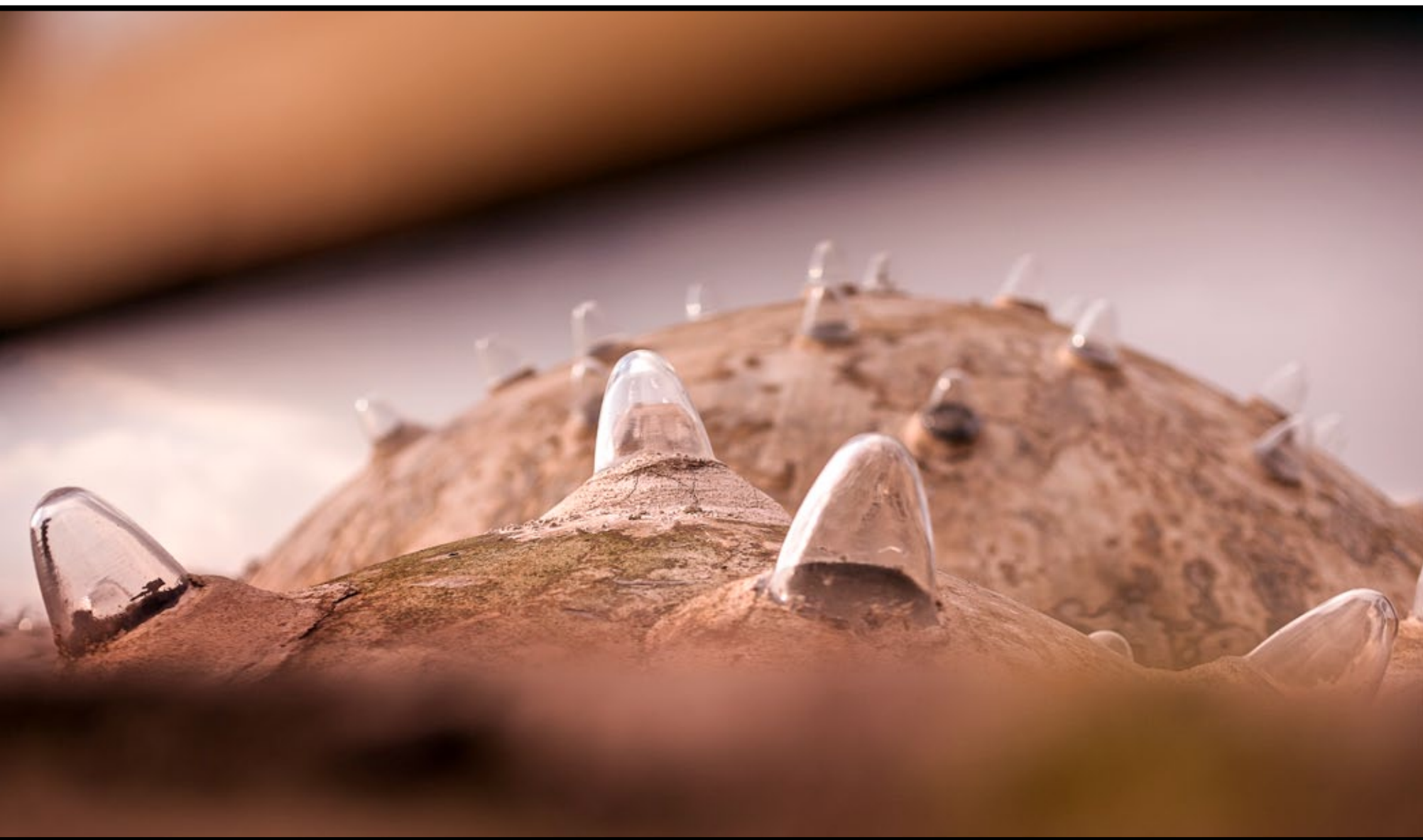
Kamień jest tradycyjnie najczęściej używanym materiałem w budownictwie, dlatego w Antepie nietrudno natknąć się na mistrzów kamieniarskich.



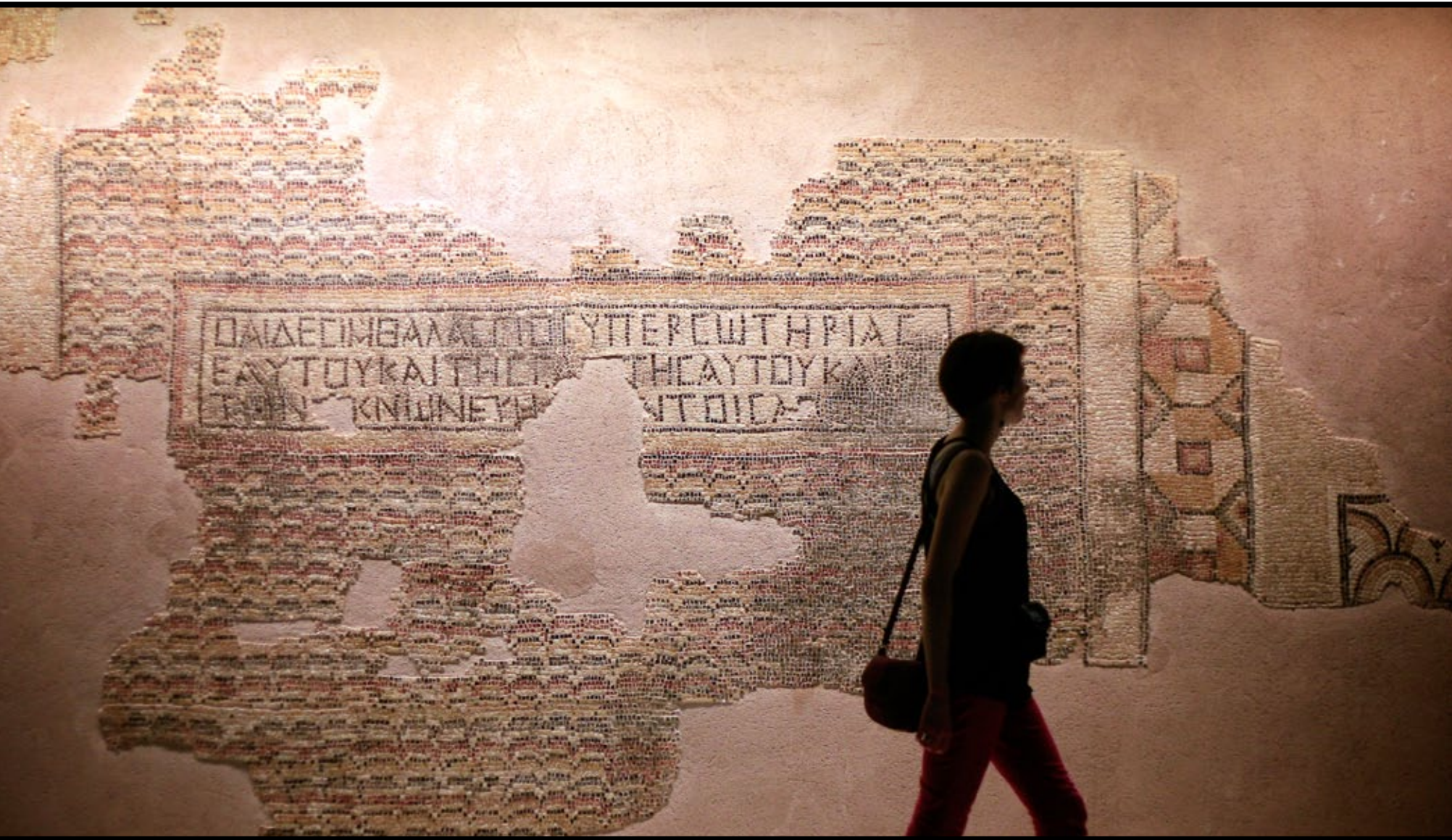
W mieście wszyscy się znają, kwitnie kultura sąsiedzka i wspólne są pewne zwyczaje. Należy do nich wypuszczanie dzieci na ulicę, by razem się bawiły.



Turcja jest wielkim placem budowy, ciągle coś się wyburza. Najstarsze domy ustępują miejsca nowym. Gruzowiska to powszechny widok.



Kopuła tureckiej łaźni – hammanu. Świetliki wpuszczające snopy światła wyglądają z daleka jak olbrzymie jeżozwierze.



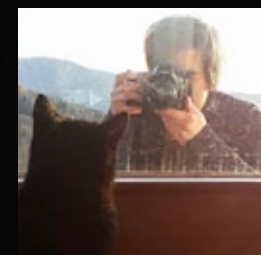
Muzeum mozaiki Zeugma wzięło nazwę od miasta założonego przez jednego z wodzów armii Aleksandra Wielkiego. To największe tego typu muzeum na świecie. Znajduje się tu mozaika Cygańska Dziewczyna – symbol miasta znany każdemu mieszkańcowi Turcji.



Zabudowa starego Gaziantep to labirynty uliczek z ciasno rozmieszczonymi, przylegającymi do siebie domami. Podwórza są niewielkie, dlatego uliczki nawet zimą są pełne grających w piłkę dzieci.



Turecka kawa na ogniu – to popularna metoda parzenia tego napoju w Anadolii. W restauracjach serwuje się ją po posiłku za darmo, by klient poczuł się jak gość. Gaziantep jest jednym z najważniejszych producentów miedzianych czajników zwanych *cezve*.



Serdar Comez

Urodził się w Osmaniye (Turcja).
Jest absolwentem Wydziału
Sztuk Pięknych Uniwersytetu
Marmara w Stambule. Jego
ulubionymi formami ekspresji
są grafika i fotografia.
Mieszka i pracuje w Krakowie.
[www.behance.net/
scomezphotography](http://www.behance.net/scomezphotography)

Miedziane pojemniki na wodę i jogurt są jednym z najpopularniejszych wyrobów kotlarzy ze starego bazaru.

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Currywurst wymyśliła restauratorka Herta Heuwer w Berlinie w 1949 roku, a dziesięć lat później opatentowała swój wynalazek. Składniki sosu – keczup, curry i sos Worcestershire – dostała od brytyjskich żołnierzy. Rocznie w Niemczech sprzedaje 800 milionów porcji. W Berlinie znajduje się muzeum currywurst.



🕒 20 MINUT 🍴 4 OSOBY

CURRYWURST



📦 SKŁADNIKI:

4 kiełbasy wieprzowe dobrej jakości
200 ml keczupu
łyżka curry w proszku
pół łyżki ostrej papryki w proszku
łyżka sosu Worcestershire

📦 Kiełbasy grillować lub smażyć do uzyskania złocistej i chrupiącej skórki, a następnie pokroić. Pozostałe składniki zmieszać, sosem polać mięso i posypać curry. Podawać z bułkami lub frytkami.



Z PERSPEKTYWY
Ryszard Badowski

Z SIENKIEWICZEM PRZEZ HISZPANIĘ

„Stanowczo jadę do Hiszpanii – i jadę zaraz” napisał 14 września 1888 r. Henryk Sienkiewicz do przyjaciółki w Paryżu, Jadwigi Janczewskiej. Hiszpania wydawała mu się krajem egzotycznym i niebezpiecznym. Dodał więc: „Cieszę się tą podróżą, choćby mnie mieli poddusić w jakichś sierras”. Był to jeden z najważniejszych jego zagranicznych wojaży, którego cel znało jedynie kilka najbliższych mu osób.

FOT. SHUTTERSTOCK

Za Pirenejami szukał wrażeń niezbędnych do odtworzenia wydarzeń w antycznym Rzymie związanych z męczeństwem pierwszych chrześcijan rzuconych na rozszarpanie przez dzikie zwierzęta. Tylko tu mógł zobaczyć podobne współczesne widowisko zwane corrida, w którym tryskała krew byków, a czasami matadorów. W ten sposób przygotowywał się do napisania „Quo vadis”, które miało mu przynieść światową sławę, uwieńczoną Nagrodą Nobla (1905 r.).

Pomysł zrodził się dwanaście lat wcześniej w czasie podróży Sienkiewicza do Wenecji i Rzymu, gdzie mieszkał wtedy Henryk Siemiradzki, autor wielkich malowideł o tematyce historyczno-religijnej. Tam powstał obraz „Pochodnie Nerona”. Musiał jednak odłożyć ten temat, ponieważ wychodząca w Warszawie „Gazeta Polska” postanowiła wysłać go jako korespondenta na Wystawę Międzynarodową w Filadelfii (1876 r.).

Pierwszy polski korespondent zagraniczny

Od kilku lat prowadził w niej stały felieton „Chwila obecna”. Sporo miejsca poświęcał w nim podróżom. Oprócz dziennikar-

stwa i pisarstwa były one jego największym marzeniem, a potem pasją życia. Początkowo nie było go na nie stać. Studia w warszawskiej Szkole Głównej musiał przerwać w 1872 r. w celu zarobkowym. Podjął wtedy współpracę z kilkoma pismami. Był reporterem, sprawozdawcą wydarzeń kulturalnych, recenzentem teatralnym. Materiały podpisywał pseudonimem Litwos, ponieważ jego przodkowie po linii ojca pochodzili z Litwy.

Pobyty Sienkiewicza za oceanem trwały dwa lata. Przez dłuższy czas mieszkał w Kalifornii, w posiadłości Heleny Modrzejewskiej. Udawał się stamtąd na wycieczki do San Francisco, Los Angeles i Sacramento oraz do sąsiedniej Arizony. W czasie jednej z nich dotarł do granic Meksyku, w innej zawędrował na pustynię Mohave oraz do kopalni srebra w stanie Nevada. Gościł w wigwamach Indian. W noweli „Sachem” przedstawił rzeź plemienia Czarnych Węzów. Ocalał tylko jeden z nich, oddany jako dziecko do cyrkowej trupy.

Potem ruszył w podróż przez całą Amerykę, od Pacyfiku do Atlantyku. Pokonał Góry Skaliste. Trafił do stanu Wyoming, gdzie wziął udział w polowaniu na bizona. Na wschodzie USA odwiedził Boston, Pittsburgh, Chicago oraz wodospady Niagary. Czytelnicy

„Gazety Polskiej” chłonili opisy amerykańskiego stylu życia oraz obyczajów kształtującego się za oceanem nowego wielokulturowego narodu.

Ku pokrzepieniu serc

Sienkiewicz opuścił Stany Zjednoczone w 1878 r., w drodze powrotnej zwiedził Londyn. Przez rok zatrzymał się w Pary-



Państwo Gabriela i Stanisław Makowiecki

żu, gdzie porządkował materiały amerykańskie, pisał nowele i opowiadania oraz artykuły. Jeden z nich, zatytułowany „Osady polskie w Stanach Zjednoczonych”, wydrukowany na łamach „Przeglądu Tygodniowego”, stanowi nieocenione źródło informacji XIX-wiecz-



Casa Mak – letnia rezydencja państwa Makowieckich w miejscowości Gualba pod Barceloną

nej Polonii. W noweli „Za chlebem” nakreślił tragiczne losy chłopskiej emigracji do USA.

W 1880 r. zamorskie korespondencje Sienkiewicza ukazały się w postaci książkowej jako „Listy z Ameryki”. Stanowiły pomost między jego publicystyką dziennikarską a twórczością powieściową, znaczącą od 1884 r. epopejami historycznymi, które drukowały w odcinkach gazety warszawskie, lwowskie, krakowskie i poznańskie. W ten sposób docierały do Polaków we wszystkich zaborach i umacniały w nich dumę ze wspólnej wielkiej historii, patriotyzmu, języka i kultury oraz wiarę w odrodzenie państwa polskiego.

Tylko w Hiszpanii

W 1886 r. odbył podróż na kontynent azjatycki, która zaowocowała „Listami z Turcji”. Ze Stambułu popłynął na Bałkany i Półwysep Apeniński. Poznał Ateny i Neapol. Ponownie pojawił się w Rzymie i Paryżu. Jesienią 1888 r. udał się do Barcelony. Przybył do niej w przeddzień święta Matki Boskiej de la Merced, które zbiegło się z otwarciem wielkiej wystawy przemysłowej.

Następnego dnia udał się na corridę, z której złożył swojej przyjaciółce w Paryżu żartobliwy raport. Pokpiwał z uwielbianego przez wszystkich króla torreadorów, niejakiego Frascuelo, który jeździ własnym powozem i znaczy więcej od ministrów, ale do walki z bykiem staje na czczo, by przy odniesieniu ciężkiej rany mógł przyjąć komunię. Gdy jednak wyjdzie z opresji cało, nie kieruje się w podzięcie do kościoła, lecz udaje do swojej donny. Nasz rodak wzdycha: „Taki już kraj”.

Do warszawskiego dziennika „Słowo” wysłał z Barcelony reportaż zatytułowany „Walka byków”, w którym przyznaje, że większość cudzoziemców nie rozumie tego widowiska. Oburza ich rzeź bezbronnych zwierząt. Sienkiewicz uważa, że byk nie jest bezbronny. Ma ogromną siłę i jest niemal tak szybki jak jeleni. Oburza go natomiast los poranionych przez byki koni, których dosiadają pikadorzy.

„A jednak, gdyby mnie zapytano, czy to piękne widowisko, odpowiedziałbym: tak! Ale co to za lud, którego największą zabawą jest widok rzeczy tak strasznej, bezwzględnej i niepowrotnej jak śmierć? Gdzie, poza Hiszpanią, mógłbym zobaczyć w osiemnaście wieków po Neronie cyrkowe tłumy, zachwycone, zahipnotyzowane takim krwawym widowiskiem?”.

Sienkiewicz wiecznie żywy

Z listami Sienkiewicza do Janczewskiej oraz publikacją „Słowa” zapoznała mnie zbieraczka hiszpańskich sienkiewiczianów, prof. Gabriela Makowiecka, która odnalazła je w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej oraz madryckich archiwach. Przedstawiła je w wykładach na katedrze slawistyki Uniwersytetu Madryckiego oraz włączyła do eseju „Sienkiewicz i Hiszpania”. Mnie zachęciła do zrobienia na ich podstawie reportażu filmowego przedstawiającego 25-dniowy pobyt Sienkiewicza w Hiszpanii.

W 1970 r. prof. Makowiecka była gościem mojego programu telewizyjnego „Klub sześciu kontynentów”. W 1973 r. poznałem jej męża Stanisława Makowieckiego, inżyniera lotniczego i konstruktora pierwszych hiszpańskich samochodów zwanych „trimakami” (Trójkołowcami Makowieckiego). Z zamiłowania historyka, geografa i etnografa, pamiętnikarza, eksperta win, działacza polonijnego.

W 1974 r. otrzymałem od państwa Makowieckich zaproszenie do Hiszpanii. Uzyskałem w przedstawicielstwie Hiszpanii w Warszawie wizę turystyczną. W ten sposób mogłem nakręcić dla Telewizji Polskiej film o hiszpańskich ścieżkach Sienkiewicza. Poruszałem się po kraju w towarzystwie inż. Makowieckiego szlakiem Sienkiewicza, wskazanym przez żonę pana Stanisława. Informa-

cje, które znalazłem w polskich encyklopediach, sprowadzały się do zdania: „W 1888 r. wyprawił się do Hiszpanii”.

Pan Stanisław zadbał, bym mógł sfilmować corridę w tym samym amfiteatrze, w którym był Sienkiewicz. Pani Gabriela znalazła plakat walki byków z tamtych lat. Nawet pora dnia była taka sama, identyczne oświetlenie. I krew na arenie, gdyż „mój” byk wziął toreadora (prawidłowo: matadora) na rogi i mocno poturbował. Spacerowaliśmy w Barcelonie po tych samych ulicach co Sienkiewicz. W Madrycie mieszkalem w tym samym hotelu Paris. W Kordobie zachowały się wąskie ulice rozgrzane słońcem, „które kąsa jak pies”.

Sfilmowałem mający tysiąc lat meczet, który wzbudził jego zachwyty: „Nic równego w życiu nie widziałem... Pyszny podwórzec drzew pomarańczowych, utopiony w słońcu, dookoła nikogo, tylko w podziemiach drzemie kilku dziadów”. Potem była Granada z tym samym zapachem rozgrzanej oliwy i górująca nad nią Alhambra, pałac ostatnich arabskich królów Hiszpanii. „Jest to coś, co przechodzi wszelką imaginację, o czym Konstantynopol nie daje najmniejszego pojęcia”. Potem jeszcze Toledo. „Miasto dziwne, jak orle gniazdo na skałach – od południa przepaść, na dnie której płynie Tybr”. Tu nasz pisarz się pomylił. Był to bowiem Tag. Nic dziwnego przy takim natłoku wrażeń.

Z panem Stanisławem korespondowałem przez 27 lat, aż do jego śmierci w 1987 r. Z panią Gabrielą kilkanaście lat dłużej. Odeszła w 2002 r. Naszą przyjaźń zawdzięczaliśmy Sienkiewiczowi.

Gdy w maju tego roku zaczynał się jubileuszowy Rok Sienkiewiczowski (170 lat urodzin i 100 lat śmierci), zatelefonowałem do TVP Historia z informacją, że w jej archiwach powinien być film „Z Sienkiewiczem przez Hiszpanię”, który warto przypomnieć. Opowiedziano mi: „Nie mamy pieniędzy na wypożyczenie go z Filмотeki Narodowej, w której znajduje się obecnie”.

Ryszard Badowski

Dziennikarz, podróżnik, operator filmowy, fotograf, pisarz, autor programu telewizyjnego „Klub sześciu kontynentów”. Pierwszy Polak, który dotarł na wszystkie kontynenty. Autor ponad 100 filmów i kilkuset artykułów o tematyce podróżniczej oraz 16 książek. Z miesięcznikiem *Poznaj Świat* jest związany od 59 lat.

BRUBECK®
B O D Y + G U A R D



NOWE TECHNOLOGIE W ZGODZIE Z NATURĄ

włniana odzież termoaktywna BRUBECK

schoeller®
Switzerland

CHODZĄC PO GÓRACH, CZĘSTO STYKAMY SIĘ Z BŁYSKAWICZNIE ZMIENIAJĄCYMI SIĘ EKSTREMALNYMI WARUNKAMI POGODOWYMI. WYSOKO POŁOŻONY TEREN NAKAZUJE ODPOWIEDNIO PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA SUROWĄ AURĘ I TRUDNOŚCI NA SZLAKU. DLATEGO PODCZAS KOMPLETOWANIA EKWIPUNKU KAŻDY POWINIEN ZWRÓCIĆ SZCZEGÓLNĄ UWAGĘ NA BEZPIECZEŃSTWO I OPTYMALNIE DOBRAĆ UBIÓR.

Przygotowanie właściwego ubioru zawsze zaczynamy od spodniej warstwy – termoaktywnej bielizny oddychającej. Niskie temperatury na wysokogórnym szlaku zachęcają, aby postawić na bieliznę i odzież wełnianą, gdyż jej naturalne właściwości, w połączeniu z funkcjonalnymi mikrowłóknami, zapewnią oczekiwany komfort ciepły i spełnią swoje funkcje ochronne.

Bielizna wełniana zalety zawdzięcza wyjątkowym wśród naturalnych materiałów właściwościom wełny pozyskiwanej ze szczególnej odmiany owiec – merynosów. Runo tych zwierząt składa się z bardzo cienkich karbikowanych włókien – znacznie bardziej niż u innych owczych ras. Grubość włókien osiąga zaledwie 16,5 µm, a długość od 65 do 100 mm. Mimo delikatnej budowy po odpowiedniej obróbce materiał nie traci swoich pożądanych właściwości, czyli połączenia lekkości z ponadprzeciętną

termoizolacyjnością. Dorosły merynos dostarcza rocznie 18 kg wełny klasyfikowanej jako Ultrafine Wool – gatunek uważany powszechnie za najlepszą wełnę na świecie.

W CHŁODNE DNI GRZEJE, LATEM CHŁODZI

O jakość owczego surowca, z którego Brubeck produkuje w Polsce kolekcje swojej odzieży, dba szwajcarska firma Schoeller – jeden z liderów na rynku tekstylnym, mający wielkie tradycje i zorientowany na innowacje i dotrzymywanie ścisłych wymogów ekologicznej produkcji.

Poziom technologiczny, który prezentuje polska marka, umożliwia łączenie materiałów z najszlachetniejszej wełny merynosów z przędzami powstałymi na bazie mikrowłókien. Połączenie starannie wyselekcjonowanego surowca z przędzami opracowywanymi od początku do końca w firmowym dziale technologicznym daje unikalne właściwości tak powstałych dzianin dwuwarstwowych. Mikrowłókna po-



liamidowe użyte w warstwie wewnętrznej dzianiny skutecznie transportują wilgoć do zewnętrznej warstwy wełnianej, natomiast w warstwie zewnętrznej zastosowano miękką, bardzo cieką i delikatną stuprocentową wełnę z merynosów.

O tym, że wełna ma właściwości termoizolacyjne, decydują dobre magazynowanie powietrza ogrzanego ciepłem ciała oraz skuteczne odprowadzenie wilgoci z materiału. Dzięki temu wełniana bielizna „oddycha”, zapewnia użytkownikowi komfort termiczny i prawidłowy mikroklimat między skórą a odzieżą. W efekcie w chłodne dni nas ogrzewa, a latem chłodzi.



Rozbudowana struktura wewnętrznych kanałków we włóknach wełny skutecznie transportuje wilgoć, chroniąc przed przepoceniem, ponieważ wełna jest w stanie wchłonąć aż 35% wilgoci w stosunku do własnej masy bez pozostawiania nieprzyjemnego uczucia na skórze. Dodatkową właściwością jest ochrona przed promieniami UV, co znacznie ogranicza możliwość przegrzania. Kolejną zaletą naturalnych wełnianych

włókien jest znaczna zdolność do częściowego samooczyszczania się ich powierzchni. Z wełny owiec merynosów ulatuje nieprzyjemny zapach z osadzającego się potu, a jednocześnie materiał tworzy środowisko wrogie bakteriom.

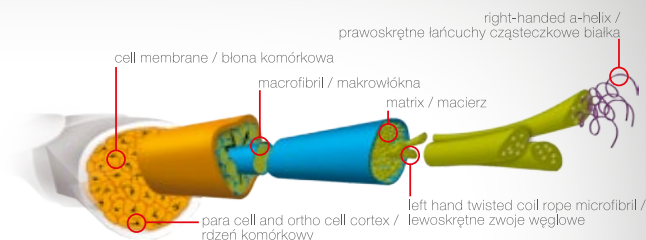
OD COMFORT DO EXTREME

Na kolekcje z jakościowych przędz wełnianych Brubeck składa się pełny wybór odzieży: bielizna, męskie i damskie koszulki, bluzy oraz spodnie, które zapewniają przyjemność podczas korzystania z codziennych biurowych zajęć, relaksu w domowym zaciszu, jak i aktywności w czasie trekkingowych wędrówek czy narciarskich zjazdów. Brubeck sporządził swoją własną klasyfikację stopnia wysiłku, według której określa się, jaki rodzaj odzieży najlepiej będzie pasował do naszej aktywności i warunków zewnętrznych.

Comfort Wool to wełniana bielizna codziennego użytku przeznaczona do dziennych aktywności i odpoczynku, która sprawdzi się bez względu na sezon. Kolekcja Active Wool to produkty o nieco większej grubości, przeznaczone do użytku zwłaszcza w nieprzewidywalnej aurze pogodowej, gdy zmieniają się pory roku, a szczególnie polecane przy znaczącej aktywności, na przykład w górach. Najcieplejszą kolekcją jest Extreme Wool – to najgrubsza bielizna wełniana o wysokiej gramaturze 273 g/m², w której zawartość doskonałej jakości wełny stanowi prawie 80% materiału. Komplety damskiej i męskiej bielizny tej serii zostały stworzone właśnie z myślą o najtrudniejszych warunkach atmosferycznych,

Wool fibre structure

Przekrój struktury włókna wełny



jakie występują w czasie sezonu zimowego oraz przy uprawianiu sportu w ekstremalnie niskiej temperaturze.

PODRÓŻNICY DOCENILI

Doświadczenia profesjonalnych sportowców, amatorów gór oraz podróżników wspieranych przez Brubeck, zebrane podczas najróżniejszych wypraw, potwierdzają, że wełniana odzież termoaktywna sprawdza się nawet w skrajnych warunkach. Produkty tej marki zdobywały kolejne szczyty górskie i niedostępne punkty na mapie całego świata i towarzyszyły wielu podróżnikom w ekstremalnych wyprawach. Bardzo dobre doświadczenia z tą odzieżą termoaktywną mają członkowie wielu wypraw na wszystkich kontynentach. Tylko w tym roku Brubeck wsparł uczestników wyprawy zdobywającej Mount Vinson, najwyższy punkt Antarktydy. Wsparł również ekspedycję, która wybrała się na Pico de Orizaba, najwyższy szczyt Meksyku (a jednocześnie najwyższy wulkan Ameryki Północnej). Wełniana bielizna termoaktywna była również obecna podczas motocyklowego rajdu w sercu Afryki, rowerowej wyprawy do Jakucji śladem zorzy polarnej, samotnej przeprawy przez Alpy, ultramaratonu na Alasce, a nawet podczas zdobywania największego na świecie płaskowyżu na Wyżynie Tybetańskiej i wielkiej wędrówki przez 4 265 km wzdłuż pieszego szlaku Pacific Crest Trail, od Kalifornii przez Oregon po stan Waszyngton.

Brubeck śledzi i wspiera odważne eskapady przede wszystkim polskich podróżników. Członkowie wymienionych wyżej ekspedycji oraz 80 innych wypraw potwierdzają, że termoaktywna odzież wełniana świetnie sprawdza się w warunkach skrajnego wysiłku, w otoczeniu surowej przyrody i przy wyjątkowo niesprzyjającej aurze.



Idzie jesień

Poranki i wieczory robią się chłodne. To znak, że idzie jesień, a z nią coraz większe różnice temperatury i zmienna pogoda. Poniżej kilka ciekawych propozycji odzieży i sprzętu na różne aktywności i na różną aurę.



Cena: ok. 440 zł
www.e-horyzont.pl

NA TRUDNE WARUNKI JACK WOLFSKIN NORTHERN POINT MEN

Wiatroszczelna, nienasiąkająca wodą i charakteryzująca się bardzo dobrą oddychalnością kurtka softshellowa z kapturem. Miękką polarowa strona wewnętrzna zapewnia ochronę przed zimnem. Ma kaptur, dwie kieszenie na biodrach i waży ok. 520 g (rozmiar L).

NA PODEJŚCIE LA SPORTIVA TX4

To skórzane buty z kolekcji podejściowych Traverse. Przeznaczone na trudne techniczne drogi, via ferraty oraz górskie wędrówki. Wysoka odporność na ścieranie oraz zredukowana waga zostały zapewnione dzięki rantowi wykonanemu z polimeru w technologii PU TechLite, a dodatkowy gumowy otok w przedniej części buta gwarantuje ochronę palców. Skórzana cholewka powoduje, że jest to najbardziej zwarty i trwały but w serii Traverse. Właściwą stabilizację zapewnia technologia STB Control System, w której cholewka w środkowej części buta jest owinięta wokół podeszwy. Odpowiednia trakcja i przyczepność zostały zapewnione dzięki zastosowaniu innowacyjnej podeszwy Vibram MegaGrip o różnej gęstości gumy oraz systemowi Impact Brake System.



Cena: ok. 670 zł
www.lasportiva.com

NA MROŹNE DNI BRUBECK EXTREME WOOL

To najcieplejsza bluza wełniana marki Brubeck. Została wykonana z najwyższej jakości wełny merynosów. Jej zalety docenią szczególnie osoby aktywne. Zastosowanie dwuwarstwowej i bezszwowej konstrukcji pozwoliło uzyskać wyjątkowe właściwości termoregulacyjne. Duża elastyczność wełny sprawia, że bielizna nie gniece się i nie wypycha. Idealnie dopasowuje się do ciała i daje dużą swobodę w doborze kolejnych warstw odzieży. Produkt ma właściwości antyalergiczne (nie powoduje uczuleń i podrażnień) oraz antybakteryjne (zapobiega powstawaniu nieprzyjemnych zapachów). Skład: 78 proc. wełna, 21 proc. poliamid, 1 proc. elastyn. Gramatura: 273 g/m².



Cena: ok. 185 zł
www.brubeck.pl

DLA AMBITNYCH GRIVEL TECH MACHINE

To techniczny czekan przeznaczony do wspinaczki lodowej i drytoolingu. Został wyposażony w wymienne ostrze ICE zważające się na końcu w celu jak najlepszej penetracji w lodzie. Specjalnie wyprofilowane stylisko gwarantuje precyzyjne wbijanie i osadzanie czekana, co w połączeniu z wygodnym uchwytem sprawia, że jest doskonałym narzędziem do wspinania zimowego w najbardziej wymagających ścianach. Wykonany ze stali chromowanej, ostrze hartowane na gorąco. Wytrzymałość styliska wynosi ok. 400 kg, a waga całości to 660 g.



Cena: ok. 890 zł
www.himalsport.com.pl

CIEPŁA I WYGODNA MAMMUT RIME TOUR IS JACKET MEN

Kurtka z najnowszej kolekcji Mammuta jest lekka i ma bardzo dobre właściwości termiczne dzięki zastosowaniu wypełnienia Ajungilak. Idealnie sprawdzi się w czasie wypraw w góry i skitourów. Materiał zewnętrzny to poliester. Kurtka ma dwie zamykane na zamek kieszenie boczne i jedną na piersi, elastyczny dół i mankiety.



Cena: ok. 380 zł
www.mmtsklep.pl

sprawdź ceny

ceneria.pl
outdoorowa porównywarka cen

Cena: ok. 2 015 zł
www.millet.fr



Cena: ok. 350 zł
www.regatta.pl

NA SPACER I W GÓRY REGATTA DANVELO

Ultralekka kurtka dla panów. Świetna zarówno na górski szlak, jak i na chłodniejsze dni w mieście. Pełen komfort zapewnia oddychający i wodoodporny materiał ISOLITE 5000, podszyty wytrzymałą siatką. Regulowany kaptur z daszkiem oraz elastyczne wykończenia zapobiegające wnikaniu chłodnego powietrza sprawdzają się podczas wietrznej pogody. Ma dwie zewnętrzne kieszenie na zamek.

PRAKTYCZNE ROZWIĄZANIA MILLET TRILOGY V ICON GTX JKT

Jej tkanina to trójwarstwowy Gore-Tex® Pro Astree 3L. Membrana została z laminowana pomiędzy zewnętrzną tkaniną shell 100% poliamid ripstop a wewnętrzną, z również wytrzymałego poliamidu. Dzięki temu uzyskano niezwykłą oddychalność, wodoszczelność oraz trwałość. Konstrukcja kurtki wspomaga cyrkulację powietrza, a otwory pod pachami ją przyspieszają. Wszystkie kieszenie umiejscowiono dość wysoko, aby umożliwić zakładanie uprząży. Główny suwak ma możliwość otwierania w dwie strony, co ułatwia zdejmowanie kurtki bez zdejmowania uprząży. Krój Alpine Fit™ pozwala dopasować ją do sylwetki, rękawy profilowane w okolicy łokci ułatwiają pracę rąk bez niepotrzebnego naciągania tkaniny. Głęboki kaptur mieszczący kask ma regulację w czterech kierunkach.



DLA KAŻDEGO SIMOND ROCK



Idealny do wspinaczki i alpinizmu, odpowiedni dla osób w każdym wieku i na każdym poziomie. Solidny kask w dwóch rozmiarach (na obwód głowy 50–56 cm i 55–61 cm) zgodny z normą alpinistyczną EN12492.

Cena: ok. 100 zł
decathlon.pl



CZYSTOŚĆ I PIELEGNACJA NIKWAX® TECH WASH® I TX.DIRECT® WASH-IN

Łatwa w użyciu, bezpieczna i bardzo wydajna pielęgnacja odzieży przeciwdeszczowej. Środek czyszczący Tech Wash (zielona nakrętka) bezpiecznie oczyszcza, odświeża właściwości oddychające i nie uszkadza impregnacji. Z kolei impregnat TX.Direct Wash-in (fioletowa nakrętka) nadaje trwałą hydrofobowość, odświeża właściwości oddychające oraz optymalizuje funkcjonalność odzieży przeciwdeszczowej. Środki Nikwax są wyprodukowane na bazie wody, nie zawierają fluorowęglowodorów i gazów pędnych.



Cena:
ok. 68 zł (2 × 300 ml),
ok. 150 zł (2 × 1 l)
nikwax.com

Cena: ok. 290 zł
www.fjordnansen.pl

KOMFORTOWY SEN FJORD NANSEN ENMO LIGHT

Mata samopompująca to ważny element ekwipunku turysty. Sprawdzi się w zarówno w namiocie, jak i w górskim schronisku. Ergonomiczny kształt oraz specjalne wypełnienie powodują, że waży zaledwie 0,57 kg i po złożeniu zajmuje ponad dwa razy mniej miejsca niż zwykła karimata.





Dane techniczne:

model	Romet ADV 250
rocznik	2016
wymiary	2130 × 868 × 1260
silnik	jeden cylinder 4T, chłodzony cieczą
pojemność	250cc
prędkość maksymalna	120 km/h
przeniesienie napędu	łańcuch, 6 biegów
moc maksymalna (KM)	25
rozruch	elektryczny
hamulec przód/tył	tarcza/tarcza
cena	13990 zł

ROMET ADV 250

Podróże motocyklowe stają się w Polsce coraz bardziej popularne. Zapewne wiele osób zna motocykle BMW GS, Honda Transalp i Africa Twin czy Yamaha Tenere. Kojarzy się również ze sporym wydatkiem finansowym na zakup takiego pojazdu (zarówno nowego, jak i używanego). Mam jednak bardzo dobrą wiadomość – nasz krajowy producent, firma Romet, wprowadził na rynek model ADV 250. To przedstawiciel klasy A2 o pojemności 250cc, który gwa-

rantuje świetną relację ceny do jakości i użyteczności. Niski koszt zakupu (ok. 14 tys. zł), małe zużycie paliwa (ok. 3 l/100 km), łatwość poruszania się w obszarze miejskim oraz w terenie – model ADV 250 ma zachęcać do zakupu klienta nie tylko ceną, ale również jakością i walorami użytkowymi. Sprawdziłem je i jestem pozytywnie zaskoczony.

Motocykl bardzo dobrze się prezentuje. Wygląda jak rasowa endurowka – nowoczesna linia, pokrywa baku, rozkład i wygląd przełączników, kształt i zawartość deski rozdzielczej, gmole i metalowe kufry. To wszystko sprawia bardzo dobre wrażenie i po kilku godzinach testowania można zauważyć dbałość o szczegóły. Silnik pracuje bardzo przyzwoicie, ma dobrą dynamikę (przy mocy 25 KM) i niski poziom wibracji. Prędkość na poziomie 100–110 km/h nie jest dla ADV żadnym problemem. Za to jest głośny, co może niektórym przeszkadzać.

Po rozgrzaniu reakcja na gaz jest szybka, sil-



FOT. MICHAŁ WAŁUSZA

nik potrafi się „zakrzusić”. Skrzynia biegów również chodzi pewnie – przełączanie kolejnych przełożeń jest szybkie i precyzyjne. Przy jeździe w pojedynkę i z pustymi kuframi motocykl prowadzi się wyśmienicie. W dwie osoby jest również przyjemnie. Nawet w terenie przy moim wzroście 170 cm i wadze 70 kg w pełni panowałem nad maszyną. Czuć, że układ zawieszenia spisuje się bardzo dobrze. Ma na to wpływ także dobrze dobrana geometria motocykla. Wejście w skręt jest łatwe i wręcz naturalne, w złożeniu pozostaje neutralny i pewnie prowadzi się po zadanej linii. Nawet przy jeździe w dwie osoby nie ma skłonności do nerwowego trzepotania kierownicą.

W codziennej eksploatacji model Romet ADV 250 spisywał się bardzo dobrze. Polecam jednak ściągnąć boczne kufry, bo nie pozwalają się precyzyjnie przesuwać w korku. Maszyna świetnie radzi sobie na gorszych drogach i na szutrach. Do tego nisko ulokowane



FOT. MICHAŁ WAŁUSZA

THE NORTH FACE® ANORAK FUSEFORM™ CESIUM

Waga i jeszcze raz waga – to najważniejszy, ale nie jedyny wyróżnik męskiej kurtki TNF Anorak. Wpadła mi w ręce tuż przed wakacjami i nie miała lekko, bo cały lipiec był deszczowy. Czy to na trekkingu, czy na rowerze kurtka kilka razy towarzyszyła mi w bojowych warunkach. Sprawdziła się bardzo dobrze.

Kurtka The North Face Anorak Cesium została zaprojektowana z myślą o tych, którzy chcą wędrować szybko i bez zbędnego obciążenia. Nieważne, czy spacerem, biegiem czy na rowerze. Miejsce na tę kurtkę na pewno się znajdzie. Dzięki technologii FuseForm™ możliwe było bezszwowe połączenie wytrzymałego nylonu typu ripstop, lekkiego płóciennego splotu i oddychającego oraz wodoopornego materiału DryVent™ 2,5L. FuseForm™ to technologia, która pozwala zmieniać włókna w czasie procesu produkcyjnego. To umożliwia uzyskanie jednolitego fragmentu materiału o różnych właściwościach w określonych miejscach. Dzięki temu projektanci nie muszą umieszczać wstawek z mocniejszego materiału np. na ramionach dla poprawienia parametrów i wytrzymałości produktu. Wszystko po to, aby do minimum ograniczyć liczbę szwów w produkcji, a co za tym idzie – zmniejszyć jego wagę, poprawić parametry i jeszcze

lepiej dopasować do użytkownika. Brzmi banalnie, ale dotychczas było nieosiągalne. Dzięki tej technologii kurtka jest wodo- i wiatroodporna, a waży zaledwie 165 g (model S; M to niespełna 180 g).

Dzięki krojowi typu anorak (kurtka wkładana przez głowę i rozpinana na zamek błyskawiczny tylko do połowy) i zastosowaniu lekkich zamków udało się uczynić ją jeszcze lżejszą i bardziej pakowną. Byłem w stanie ją zwinąć i schować w małej kieszonce plecaka, w której mieszczą się jedynie okulary. Obszerny i regulowany kaptur można założyć na kask rowerowy. Z kolei ściągacze na mankietach i dolnej krawędzi kurtki utrzymują ją na miejscu nawet podczas dynamicznego przemieszczania się.

Kieszeń na piersi jest oczywiście wodoodporna i zmieści telefon, portfel czy klucze do samochodu – rzeczy, które mają pozostać suche. Zaskoczyła mnie też bardzo pozytywnie jej oddychalność. Przy padającym deszczu i intensywniejszym wysiłku (podczas podjazdu rowerem czy podejścia stromym szlakiem) wystarczyło rozpiąć kurtkę i mimo dużej wilgotności i nadprodukcji ciepła przez organizm nie „zagotowałem” się. Oprócz wagi to jej drugi najważniejszy atut.

Kurtka to idealny wybór na letnie wypady w góry – piesze bądź rowerowe. Oberwanie chmury nie będzie nam straszne, gdy będziemy mieli ze sobą Anorak Cesium. Mimo że cena wydaje się dość wysoka, konkurencyjne marki nie zaoferują nic tańszego o tych parametrach.

MATERIAŁ ZEWNĘTRZNY: 15D, 63 g/m² 100 proc. nylon ripstop 2.5L Dryvent™ Waga rozm. M: ok. 180 g.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: ok. 700 zł
www.thenorthface.eu



siodło i relatywnie niewielka masa umożliwiając korzystanie z niej praktycznie każdemu. To jeden z nielicznych motocykli, na którym czuję się komfortowo i w pełni go kontroluję.

Jest idealną propozycją dla osób początkujących, które dotychczas marzyły o choćby kilkudniowych wyjazdach, ale ograniczał je budżet lub warunki fizyczne, oraz tych, dla których tania eksploatacja i bezawaryjność są kluczowe. Nie odnotowałem żadnych problemów technicznych, mimo że ADV był testowany od początku roku przez różne osoby, a na liczniku miał już ponad 7 tys. km. Warto wspomnieć, że Romet daje dwa lata gwarancji na pojazd, a trzy lata na silnik, bez limitu przebiegu. Muszą mieć więc pewność, że za wiele reklamacji nie będzie. Jako motocyklista z ośmioletnim stażem i fan krótkich wycieczek za miasto gorąco polecam ten model.

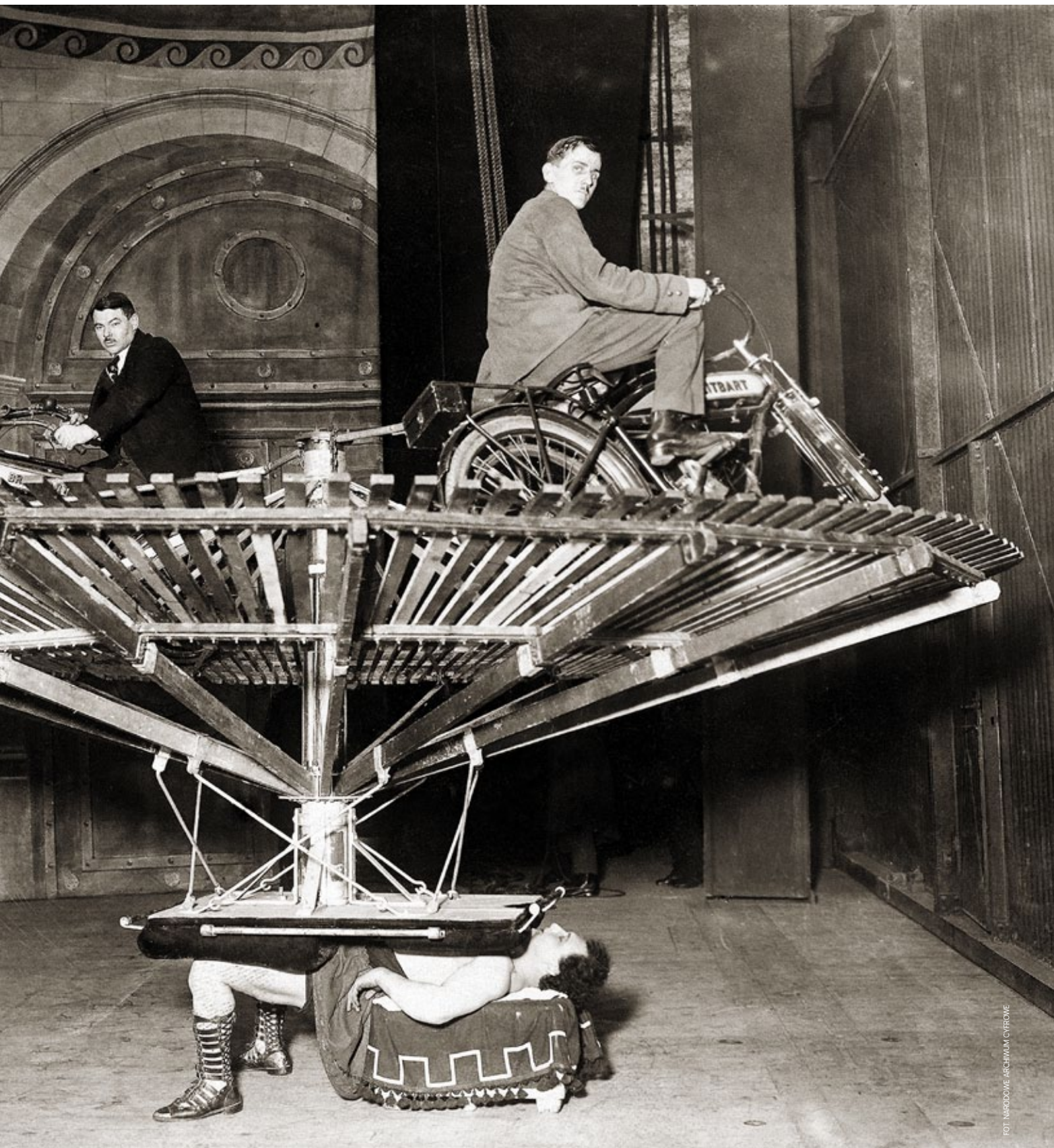
Test: Grzegorz Miedziński

Król Żelaza

Zygmunt Breitbart, nazywany Królem Żelaza, był najsilniejszym człowiekiem świata. Siłacz spod Łodzi znany był ze swojego popisowego numeru cyrkowego, w którym na piersi dźwigał tor motocyklowy. Zanim rozpoczął tournée po Ameryce, występował w europejskich cyrkach, gdzie zachwycał publiczność nadludzką siłą. Przeciągał wozy pełne ludzi przy pomocy liny trzymanej w ustach, rozrywał łańcuchy, przegryzał monety. Każdy z występów wymagał podjęcia dużego ryzyka. Podczas jednego z pokazów w 1925 roku gołą ręką wbijał gwoździe w deskę opartą o nogę. Użył zbyt dużej siły i metal wbił mu się w kolano. Kilka tygodni później pierwowzór Supermana zmarł w Berlinie wskutek zakażenia.

Fotografia przedstawia Zygmunta Breitbarta podczas występu w Cyrku Staniewskich w Warszawie w 1925 r.





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYCLOWE



GHANA – HOŁD DLA KRÓLA ASZANTI



SERBIA – NARTY PO BAŁKAŃSKU



ZASIEDZIĆ SIĘ W KOLUMBII

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Dariusz Małkowski
dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Sekretarz redakcji
Julia Michalczevska
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Marcin Dobas,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Magdalena Żelazowska

Grafika & DTP & Prepress
Maciej Jurkowski, Julia Michalczevska, Martyna Bulba

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wąty Jagielloniskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

Tokina

NAJLEPSZY W SWOJEJ KLASIE NA DXOMARK.COM

AT-X 24-70 F2.8 PRO FX
standardowy zoom dla pełnej klatki



Top Performer

DXOMARK
THE REFERENCE FOR IMAGE QUALITY



Najwyżej oceniony
w swojej klasie
na DxOmark.com

www.tokinalens.pl

Wyłączny dystrybutor marki Tokina w Polsce

next77

WIĘCEJ PRZESTRZENI



SSANGYONG

MADE IN KOREA

XRV



WWW.SSANGYONG.PL

SsangYong XRV 1.6D MT 2WD - zużycie paliwa (średnio) 4,7 l / 100 km,
emisja CO₂ (średnio) - 121 g / km